

misje

SERCAŃSKI MAGAZYN MISYJNY

NR 2(8) 2025

EGZEMPLARZ BEZCENNY

Jądro w ciemności, która nie mija

— O KRAJU, KTÓRY WCIAŻ CZEKA
NA SWOICH BOHATERÓW

s. 58

A myśleliśmy, że mamy tak źle...

— O ZUPIE DLA WSZYSTKICH, TRAUMIE WOJNY
I POCZUCIU TRANSCENDENCJI

s. 26

ISSN 2720-1473 08 >
9 772720 147303



**WODA
Z MISJĄ**

Oferta specjalna przeznaczona dla:



FIRM



DOMÓW ZAKONNYCH



HOTELI

Kupując wodę przez stronę:

www.wodazmisja.pl

wspierasz budowę studni głębinowych
w pustynnym Czadzie.

Zapewniamy:

- transport na palecie gratis,
- dostawę „pod drzwi”,
- możliwość miksowania różnych pojemności i rodzajów wody na jednej palecie.

OPIEKUN KLIENTA

Artur Paszko

tel. 502 078 413

artur.paszko@wodazmisja.pl



Ojciec Szwerwicki sam nie wybrał swej misyjnej drogi – można powiedzieć, że życie go zmusiło. Ojciec Kalikst marzył o misjach na Wschodzie ze względu na swoje korzenie. Ojciec Andrzej odpowiedział na prosty komunikat: „potrzeba misjonarzy”. Siostra Mateusza pojechała służyć ludziom w dobrej i złej doli, a swoisty egzamin z tego zobowiązania przyszło jej zdać w momencie wybuchu wojny. Ksiądz Marek na drugim końcu świata buduje wspólnotę wraz ze świeckimi, bez których – jak sam mówi – nie dałby rady. Ojciec Leon założył zgromadzenie zakonne, które dało światu wielu misjonarzy. Niektórym z nich przyszło oddać życie za Chrystusa. To pod wpływem ich świadectwa ksiądz Michel sam został Sercaninem. Ksiądz Adrian, wybierając powołanie do kapłaństwa, wyruszył w podróż, która zawiodła go aż na misję. Z kolei Anna miłość do Afryki zamieniła w konkretną pracę na rzecz misji. A my? Co my możemy zrobić? Bardzo dużo! W „Misyjnym ABC” pisze o tym ksiądz Franciszek.



Dziękuję wszystkim Autorom, którzy stworzyli piękną mozaikę misyjnych opowieści zamkniętych w ósmym numerze naszych sercańskich „MISJI”. Jest to numer tym bardziej wyjątkowy, gdyż jako duchowe dzieci Ojca Leona Dehona przeżywamy 100. rocznicę jego śmierci i – jak wierzymy – przejścia do Domu Ojca. Jego miłość do misji była ogromna i wydała piękne owoce! Dlatego nie przeciągając zbytnio tego wstępu, z radością oddajemy w Państwa ręce 100 stron magazynu „MISJE” na stulecie śmierci Założyciela Zgromadzenia Księża Najświętszego Serca Jezusowego.

redaktor naczelna

DRODZY CZYTELNICY I PRZYJACIELE SERCAŃSKICH MISJI!

Na kartach tego numeru chcemy Was zaprosić w duchową podróż do miejsc i czasów, które wymagały realnego świadectwa wiary i nadziei ze strony misjonarzy. Ich historie to opowieści o odwadze, pokonywaniu barier i budowaniu mostów między kulturami na fundamencie, jakim jest sam Bóg. Opisują one poświęcenie i odwagę misyjną w obliczu prześladowania, a nawet śmierci. Bezinteresowna służba na misjach jest inspirującym przykładem tego, jak wiele Kościół zawdzięcza heroizmowi ludzi.

W 1964 roku, podczas antyrządowego powstania Simba w Kongu, doszło do tragicznych wydarzeń, które pochłonęły życie wielu misjonarzy, w tym kapłanów ze Zgromadzenia Księża Najświętszego Serca Jezusowego. Pamięć o tych wydarzeniach jest ciągle żywa, a ich męczeństwo przypomina o ryzyku i ofierze, jakie niosła ze sobą praca misyjna w trudnych i niebezpiecznych regionach świata.

Chcielibyśmy też zwrócić Waszą uwagę na historię trwania Kościoła w krajach, gdzie brakuje wolności wyznania. Mimo liczonych w dziesięcioleciach prześladowań ze strony reżimów komunistycznych i autorytarnych, Kościół Katolicki w takich krajach jak Rosja, Chiny czy Kuba nie tylko przetrwał, ale nadal aktywnie działa, nierzadko w ukryciu. Historie tych Kościołów to świadectwo niezwykłej odporności, wiary i zdolności przetrwania w obliczu najcięższych prób. Pokazują one, jak ewoluuje praca misjonarzy wobec nowych wyzwań, jak adaptują się oni do zmieniających się realiów społecznych i kulturowych.

Zapraszamy do lektury i odkrywania serca misji!

Sekretarz Misji Zagranicznych Księża Sercanów

Spis treści

WIAŁA W CIENIU KOMUNIZMU



Rosja

6 Apostoł zesańców

– opowieść o o. Krzysztofie Szwerneckim, misjonarzu Polaków na Syberii w XIX wieku

14 Moje syberyjskie drogi

– o podróżach Nivą bez wspomagania w poszukiwaniu katolików rozsiayanych po Syberii

20 Duszpasterstwo małych drzwi

– wspomnienia grekokatolickiego misjonarza skazanego za działalność misyjną przez rosyjski sąd w XXI wieku

Ukraina

26 A myśleliśmy, że mamy tak źle...

– o zupełnie dla wszystkich, traumie wojny i poczuciu transcendencji

Chiny

36 Moc prześladowanego Kościoła

– spojrzenie na sytuację katolików w Hongkongu i Makau

Kuba

40 Życie na długim dystansie

– o małych i dużych radościach oraz roli świeckich w ewangelizacji rozmawiamy z ks. Markiem Gubernatem MSF

KSIĘŻA SERCANIE

46 Mapa – Polscy Sercanie na świecie

Sercański jubileusz

48 Założyciel

– przedstawiamy sylwetkę Ojca Leona Dehona w 100. rocznicę jego śmierci

CHARYZMAT MISYJNY

Okiem eksperta

54 Misyjne ABC

– prosty przewodnik po misjach Kościoła Katolickiego





KONGO

Okiem eksperta

- 58 Jądro w ciemności, która nie mija**
– o kraju, na którego drodze stanęło zbyt wielu złoczyńców i które wciąż czeka na bohaterów

Wywiad z Sercaninem

- 64 Krew męczenników posiewem chrześcijan**
– rozmowa o obecności duchowych synów Ojca Leona Dehona w sercu Afryki

Relacja świadka

- 70 Kalwaria i męczeństwo misjonarzy w Kisangani**
– poruszające świadectwo jednego ocalałego z masakry misjonarzy w Kongo 25 listopada 1964 roku

TANZANIA

Okiem misjonarza

- 78 Misjonarz wśród Masajów**
– o głoszeniu Ewangelii, uprawie roli, hodowli zwierząt i „znikających” drogach

Realizacja powołania

- 84 Zaczęło się od wody**
– jak fascynacja Afryką i działaniami humanitarnymi przerodziła się w pełnoetatowy projekt misyjny



CORISS

Okiem muzealnika

- 93 Kamienie szlachetne – od historii do współczesności**
– spojrzenie z bliska na kamienie, których niezwykłość zachwyca od tysiącleci



APOSTOŁ zesłańców

Ojciec Krzysztof Szweremicki to postać, która na zawsze wpisała się w historię Kościoła Katolickiego na Syberii. Urodzony na obszarze ówczesnego Królestwa Polskiego, na pograniczu etosu polskiego i litewskiego w guberni augustowskiej, w czasie zsyłki na Syberię stał się nie tylko kapłanem, ale także duchowym przewodnikiem i opiekunem Polaków, zesłańców i mieszkańców tego surowego regionu. Wspomnienie o tym niesamowitym duchownym może uświadomić istnienie nieznanych lub częściowo zapomnianych dziejów polskiego przymusowego i dobrowolnego osadnictwa na tej „niehumanitarnej ziemi” oraz starań zesłańców o zachowanie narodowej tożsamości i narodowego dziedzictwa w związkach z Kościołem Katolickim.

Jan Wiśniewski





■ Nierozpoznany mężczyzna przy grobie na cmentarzu w Irkucku, ZSRR

Działalność patriotyczna i zesłanie na Syberię

Ojciec Krzysztof Szwermicki (Szwernicki) (1814–1894), urodzony na Litwie w rodzinie zubożałej szlachty, już od najmłodszych lat wyróżniał się głębokim patriotyzmem i religijnością. Po ukończeniu edukacji w Mariampolu zaangażował się jako młody chłopak w powstanie listopadowe, podczas którego został dwukrotnie ranny (w bitwach pod Stoczkiem i Nową Wsią). Po jego upadku ukrywał się i leczył, a duchowe wsparcie, jakie otrzymał od Marianina ojca Jana Dziewulskiego, zainspirowało go do wstąpienia w 1832 roku do Zgromadzenia Księża Marianów Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Święcenia kapłańskie przyjął w 1837 roku w Sejnach. Szczególną uwagę poświęcił głuchoniemym, z którymi pracował przez kilka lat, pioniersko próbując ich kształcić i resocjalizować.

Wkrótce jednak jego losy znów związały się z działalnością patriotyczną. Jako przełożony klasztoru w Mariampolu organizował kolportaż zakazanej literatury z Prus i Francji, co zakończyło się jego aresztowaniem w 1846 roku. Po wieloletnim śledztwie został skazany na zesłanie na Syberię. Do Irkucka dotarł w maju 1852 roku. Został tam przyjęty przez miejscowego proboszcza ojca Dezyderego Hacickiego i od razu zaangażował się w pomoc duszpasterską w parafii. Choć w 1855 roku otrzymał prawo powrotu do kraju na mocy amnestii, zdecydował się pozostać na Syberii, kierując się

troską o duchowe potrzeby zesłańców, którzy nie mieli szansy wrócić do Ojczyzny. W liście do nieznanego adresata (zamieszczonym w artykule powstałym na kanwie wystąpienia księdza Jana Kosmowskiego na międzynarodowej konferencji w Wilnie w 2008 roku) Szwermicki pisał: „Powtarzam na koniec i to, że zabiegi jakie czynilem, aby tymczasem zostawiono mnie przy kościele w Irkucku nie spowodowane były ni dumą, ani ambicją, ani chęcią wzbogacenia się, ale tylko tą myślą, że z urzędu mogę więcej usłużyć nieszczęśliwym katolikom zesłanym na Syberię. Czyż może się w tym kryje doczesna myśl a nie boska, ale przyznam się szczerze, że w położeniu jakie nam tu Opatrzność przeznaczyła, bywają chwile tak tęskne, tak smutne, opanowujące duszę i serce tak silnie, że gdyby nie łaska Boża i siła modlitwy, to byłoby zbyt ciężkim udźwignięcie tego ciężaru”.

Katolicy na Syberii

Na Syberii w tym czasie w mniejszych lub większych skupiskach żyli wierni wyznający obrządek katolicki. Pierwszym udokumentowanym śladem obecności katolików w tamtym rejonie była działalność polskiego Jezuity ojca Jędrzeja Kaweczyńskiego, zesłanego w połowie XVII wieku podczas wojen kozacko-moskiewskich. Wśród kolejnych duchownych wyróżniał się Kapucyn ojciec Eligiusz Głębocki z Wołynia, który przez około 40 lat posługiwał zesłanym konfederatom barskim i uczestnikom powstania kościuszkowskiego. Zmarł w Tobolsku w 1798 roku. Przed śmiercią był świadkiem pierwszych, jeszcze bardzo skromnych, prób organizowania struktur kościelnych przez archidiecezję mohylewską.

W 1808 roku planowano wysłać na Syberię Ojców Dominikanów, którzy mieli założyć placówki



■ Artur Grottger, „Pochód na Sybir”, 1867



■ Ks. Krzysztof Szweremicki, lata 70. XIX w.

duszpasterskie w Irkucku i Tomsku. Misja ta miała objąć obszar ponad dziewięć milionów kilometrów kwadratowych – od Uralu po wschodnie granice zlewisk Oceanu Spokojnego i od Arktyki po stepy Kazachstanu i Mongolii. Z powodu braków kadrowych misję przejęli Jezuici z Połocka (dzisiejsza Białoruś). Pierwsi z nich dotarli do Irkucka wiosną 1812 roku i rozpoczęli posługę w osadach i miejscach zsyłki wzdłuż traktu syberyjskiego. Po otwarciu filii w Tomsku ruszyli dalej na wschód. W 1816 roku ojciec Tadeusz Maszewski dotarł aż do Nerczyńska. W trzy miesiące pokonał blisko 4150 kilometrów i udzielił sakramentów 168 osobom.

Zesłańcy i katorżnicy byli zazwyczaj pozbawieni opieki duszpasterskiej. Mimo to misjonarze starali się ich odwiedzać lub zabiegać u władz o zgodę na kontakt. Po wydaleniu Jezuitów z Rosji w 1820 roku, ich miejsce zajęli Bernardyni z prowincji litewskiej, zapewniając bardziej stałą, choć nadal niewystarczającą opiekę religijną. Problemem była ogromna rozległość Syberii i rozproszenie wiernych. Księża-zesłańcy nie mogli oficjalnie sprawować funkcji kapłańskich – byli albo administracyjnie pozbawieni takiej możliwości, albo (w przypadku skazanych za przestępstwa polityczne) całkowicie wykluczeni ze stanu duchownego. Cofnięcie suspensy mogło nastąpić dopiero po amnestii, na przykład z okazji wstąpienia na tron nowego cara lub innych ważnych wydarzeń w rodzinie panującej.

Po upadku powstania listopadowego wielu rekrutów z Królestwa

Choć w 1855 roku otrzymał prawo powrotu do kraju na mocy amnestii, zdecydował się pozostać na Syberii, kierując się troską o duchowe potrzeby zesłańców, którzy nie mieli szansy wrócić do Ojczyzny.

Polskiego i dawnych ziem Rzeczypospolitej trafiało do syberyjskich jednostek wojskowych. W odpowiedzi rozwinęto sieć kapelanów wojskowych, którzy często jako jedyni zapewniaли opiekę religijną w miejscach stacjonowania oddziałów. Ze względu na ubóstwo

wiernych duchowni cywilni nie byli w stanie utrzymać się z posługi. Prawosławne duchowieństwo i władze rosyjskie niechętnym okiem patrzyły na placówki katolickie, które były zresztą nieliczne i rozproszone. Mimo to kapłani nieustannie podróżowali, niosąc sakramenty tam, gdzie tylko byli katolicy. Częstotliwość wizyt duszpasterskich była jednak znikomą – od kilku tygodni do nawet kilku lat. Atmosferę takich odwiedzin doskonale oddaje autorelacja zamieszczona w książce Andrzeja Majdowskiego „Kościół katolicki w Cesarstwie rosyjskim. Syberia. Daleki Wschód. Azja Środkowa”: „Poinformowani o przyjeździe parafianie urządzają kaplicę w jednej z chat, w której również mieszka kapłan. Wszyscy wylegają, aby go powitać. Nabożeństwo odbywa się skromnie, lecz wzruszająco. Płaczą czasem świeżo przybyli przesiedleńcy, ale i starożyły, którzy pamiętają

jeszcze nabożeństwa w kraju. Obojętne są tylko urodzone i wychowane na Syberii. Nieznośne jest powietrze w przepelnionych domach modlitewnych, gdy gasną świece. W takiej atmosferze ksiądz spowiada od rana do wieczora; żeby zachować ta-

jemnicę spowiedzi, przez cały czas śpiewane są nabożne pieśni, często bardzo nieumiejętnie”.

Historia katolickiej obecności na Syberii to opowieść o determinacji, poświęceniu i wytrwałości duchownych, którzy mimo represji, trudnych warunków i ogromnych

odległości podejmowali się misji duszpasterskiej wśród zesłańców i żołnierzy. Ich działalność, prowadzona często wbrew woli władz carskich i przy braku stałego zaplecza, miała kluczowe znaczenie dla podtrzymania tożsamości religijnej, kulturowej i narodowej polskich wiernych na zesłaniu. Choć skala tej opieki była niewystarczająca, a warunki ekstremalne, ich posługa pozostaje świadectwem niezłomności Kościoła w sytuacjach granicznych. Niewątpliwie takim wzorcowym przykładem stał się dla wiernych w dalekiej Syberii ojciec Krzysztof Szwermicki.



■ Fragment czasopisma „Ktosy” nr 512 z 22.04.1875 z panoramą Irkucka

Posługa duszpasterska na Syberii

Przez kilka pierwszych lat pracy duszpasterskiej ojciec Szwermicki zyskał ogromne zaufanie wiernych i władzy carskiej. W 1855 roku został oficjalnie mianowany proboszczem parafii w Irkucku – największej pod względem obszaru na świecie – a następnie także kapelanem Korpusu Syberyjskiego. Przez kolejne 42 lata prowadził niezwykle ofiarną i wymagającą posługę. Co roku odbywał długie, męczące wyprawy duszpasterskie po całej wschodniej Syberii – od Irkucka aż po ziemie nadamurskie, uzyskane dla Rosji w 1858 roku. Podróżował pieszo, saniami, łodziami, psimi zaprzęgami, często w skrajnych warunkach i na własny koszt, aby dotrzeć nawet do jednego

zapomnianego zesłańca. Znał i rozumiał ciężką sytuację duchową zesłańców – ich zwątpienie, bunt, żal do Kościoła i Ojczyzny. Nie oce-

Wśród tych, którzy odczuli pomoc Marianina, był młody Rafał Kalinowski (późniejszy święty). Za udział w powstaniu styczniowym w marcu 1864 roku został aresztowany i skazany na karę śmierci, ale wyrok zmieniono na katorgę na Syberii.

niał, lecz cierpliwie towarzyszył im w duchowym odrodzeniu. Był dla nich nie tylko spowiednikiem i kaznodzieją, ale też psychologicznym wsparciem. Potrafił przełamywać nieufność, prowadzić dialog, a jego obecność niosła otuchę i nadzieję. Wielu uważało go za duchowego ojca, a niektórzy za symbol obecności Polski na wygnaniu. Sam generał-

-gubernator Syberii Nikołaj Murawiew-Amurski cenił go za takt, kulturę i oddanie misji. Słynny polski odkrywca i badacz naukowy Benedykt Dybowski – dość sceptycznie nastawiony do Kościoła Katolickiego – nazwał go „aniołem pocieszenia”, którego corocznej wizyty wyczekiwano z utęsknieniem. Dla wielu osób – nie tylko wiernych – ojciec Szwermicki stał się ikoną duchowego oporu i świadkiem wiary w ekstremalnych warunkach. Jego praca miała wymiar nie tylko religijny, ale też patriotyczny i humanitarny – jako wyraz współczucia, solidarności i miłości do człowieka w potrzebie.

Generał-gubernator Murawiew-Amurski, doceniając misję ojca Szwermickiego, wyraził zgodę na jego podróż po terenach



nadamurskich, włączonych nieco wcześniej do Cesarstwa Rosyjskiego, gdzie zamieszkiwała pewna liczba katolików, których nie odwiedzał wcześniej żaden kapłan. Dzięki tej decyzji rozpoczęła się najdłuższa i najtrudniejsza podróż misyjna w życiu ojca Szwermickiego. Ta podróż była dla niego nie tylko fizycznym wyzwaniem, ale także duchową wędrówką, pełną emocji i wzruszeń. Odwiedził około 350 zesłańców. Odprawiał Msze Święte, chrzczył, spowiadał, a także udzielał sakramentów małżeństwa i poświęcał groby. Wszędzie, gdzie się pojawiał, spotykał się z wielkim szacunkiem i wdzięcznością, a jego misja stała się dla zesłańców jedynym źródłem pociechy i duchowej opieki w świecie, który zdawał się o nich zapomnieć. W wielu miejscach, gdzie misjonarz przybywał,

nie tylko po raz pierwszy odprawiono Mszę Świętą, ale także po raz pierwszy od lat katolicy mogli uczestniczyć w sakramentach. Dla wielu z nich była to chwila głębokiego przeżycia, pełna łez, wspomnień o Ojczyźnie, utraconej rodzinie i dawnym życiu.

Ojciec Szwermicki, poruszony tymi spotkaniami, nie ukrywał swoich emocji. W raportach i listach opisywał, jak wielu zesłańców łamało się w modlitwach, wspominając swój kraj, swoich bliskich. Pisząc o swoich przeżyciach, nie szczędził słów pełnych żalu z powodu ich rozłąki z rodziną i obaw o przyszłość. Przypominał sobie momenty, w których rodacy ze łzami w oczach wspominali Ojczyznę: „Bóg wie, czy kiedyś jeszcze ujrzymy naszą ziemię, gdzie spoczniemy, gdzie nasze kości zostaną pochowane”.

Wsparcie materialne i interwencje w sprawach zesłańców

Wiele osób, które ojciec Szwermicki spotkał, nie miało środków na powrót do Ojczyzny, było starcami, schorowanymi lub zubożałymi. W takich przypadkach kapłan wielokrotnie pisał prośby o pomoc, wstawiając się za najbardziej potrzebującymi. W jednym z listów do Marii Juszniewskiej, żony generała, prosił o pomoc finansową dla zesłańców, wskazując na tragiczny stan większości z nich: „My tu wszyscy goli jak tureccy święci, ale mimo tego dzielimy się tym, co mamy, by pomóc nieszczęśliwym, którzy nie mogą sobie poradzić”.

W listach tych wyczuwa się ogromną troskę o ludzi, którzy mimo trudów, jakimi obciążono ich życie na Syberii, nie poddawali się całkowicie.

Jego oddanie i zaangażowanie nie ograniczały się tylko do zesłańców. Jako misjonarz wielokrotnie apelował do władz kościelnych o budowę kaplic i kościołów na Syberii, aby wierni mogli regularnie uczestniczyć w Mszy Świętej i innych sakramentach. Był świadomy tego, jak bardzo rozpowszechnione było poczucie izolacji i zapomnienia wśród zesłańców. Przypominał, że brak opieki duszpasterskiej prowadził do wynaradawiania się, do utraty nie tylko wiary, ale także tożsamości narodowej.

Marianin dostrzegał również demoralizację wśród duchownych zesłańców, którzy – pozbawieni nadzoru, w skrajnych warunkach – często

popadali w nałogi i zaniedbywali swoją misję. Z tego powodu starał się wspierać ich materialnie i duchowo, zapewniając, że nie zostaną pozostawieni sami w swoich trudnych sytuacjach. W jego domu w Irkucku księża zesłańcy znajdowali schronienie, pocieszenie i pomoc. Dzięki tej otwartości przeżywali momenty odnowy, odzyskując wiarę i nadzieję, które były im potrzebne, by kontynuować swoją misję. Pełne poświęcenia i pokory życie ojca Szwermickiego sprawiło, że był postrzegany jako człowiek święty, nawet przez tych, którzy nie podzielali jego wyznania. Wiktor Tołoczko, syn Sybira, wspominał, że dla wielu osób – katolików, prawosławnych, a także innowierców – ojciec Szwermicki był prawdziwym duchowym przewodnikiem i symbolem miłości bliźniego. Jego działalność była dla nich źródłem pocieszenia, a jego postawa przykładem, jak żyć w zgodzie

z wartościami chrześcijańskimi bez względu na przeciwności losu.

Misja ojca Szwermickiego nie ograniczała się jedynie do tradycyjnej posługi duszpasterskiej, ale obejmowała również półlegalne i nielegalne formy pomocy kapłanom, które były niemalże nieznanne

Ojciec Szwermicki sprowadzał z Polski książki i czasopisma dla zesłańców. W tych trudnych warunkach kapłan organizował spotkania, wspierał wiernych duchowo i materialnie, dając im nadzieję na lepsze życie.

w szczegółach, ale świadczyły o głębokim oddaniu dla innych. Trzeba pamiętać, że był to okres, w którym duchownych, uczestników powstania styczniowego, zsyłanych na Syberię Wschodnią po 1863 roku, skomasowano we wsi Tunka, leżącej w kotlinie pomiędzy Sajanami a Chamar-Daban, celem izolowania ich od innych skupisk polskich

zesłańców. W sumie osiedlono tam 156 duchownych, pośród których znaleźli się uczestnicy powstania ze wszystkich ziem polskich. Żyli tam przez kilka lat pod srogim rygiem policyjnym, strzegło ich 200 kozaków. Wśród tych, którzy odczuli pomoc Marianina, był młody Rafał Kalinowski (późniejszy święty).

Za udział w powstaniu styczniowym w marcu 1864 roku został aresztowany i skazany na karę śmierci, ale wyrok zmieniono na katorgę na Syberii. Trafił do Usoli, gdzie pracował w warzelni soli. Po ogłoszeniu częściowej amnestii przeniósł się do Irkucka i podjął się pracy nauczyciela domowego. Duży udział miał w tym ojciec Szwermicki. Dzięki niemu Kalinowski uniknął niebezpiecznego świata przestępczego, otrzymując pomoc i opiekę duchową, a także wsparcie materialne. Marianin dał mu schronienie w swoim domu na ponad dwa lata, pomagając mu w rozwoju duchowym i kształtowaniu właściwego życia. Na zesłaniu Kalinowski przekonał się o swoim powołaniu zakonnym.

Życie codzienne i zmagania z trudnościami

Kiedy Irkuck dotknęła tragedia pożaru w lipcu 1879 roku, ojciec Szwermicki stanął w obliczu kolejnych wyzwań. Zniszczeniu uległ bowiem drewniany kościół katolicki zbudowany w 1826 roku. Misjonarz wynajął nędzny domek, w którym



■ Aleksander Sochaczewski, „Poranek”. Rafał Kalinowski drugi od prawej, obok rosyjskiego strażnika



■ Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Irkucku

zorganizował tymczasową kaplicę i schronienie dla dzieci. Pożar zniszczył również bibliotekę parafialną, która liczyła około trzech tysięcy tomów i była ważnym źródłem wiedzy dla zesłańców. Ojciec Szwermicki starał się odbudować kościół, organizując zbiórki na ten cel, co okazało się sukcesem – nowa świątynia stanęła w krótkim czasie dzięki ofiarności wiernych i wsparciu Polaków z ojczystych stron.

Wspólne działania w ramach parafii irkuckiej nie ograniczały się jedynie do religii. Kościół parafialny stał się ośrodkiem życia duchowego i narodowego. Ojciec Szwermicki sprowadzał z Polski książki i czasopisma dla zesłańców. W tych trudnych warunkach kapłan organizował spotkania, wspierał wiernych duchowo i materialnie, dając im nadzieję na lepsze życie. Jego misja nie była wolna od dramatów, jak te związane z powstaniem zabajkałskim z 1866 roku, kiedy był świadkiem egzekucji rodaków. Mimo to

jego zaangażowanie w życie duchowe i materialne zesłańców pozostało trwałe ślad w ich historii.

Zaangażowanie misjonarza w pomoc dzieciom zesłańców było wyjątkowe. W jednym ze swoich listów wskazywał na dramatyczną sytuację dzieci wychowywanych w skrajnej biedzie, bez jakiegokolwiek edukacji religijnej. Ojciec Szwermicki podjął próbę ich ratowania, zakładając na własny koszt szkołę, w której był nauczycielem i wychowawcą. Jego działania w tym zakresie były wspierane przez innych zesłańców, a sam Kalinowski wspominał je w swoich relacjach, podkreślając dobroć ojca Szwermickiego oraz jego oddanie sprawie wychowania dzieci w duchu religijnym.

W 1885 roku, po wielu latach ciężkiej pracy, ojciec Szwermicki złożył prośbę o zwolnienie z pełnionych obowiązków, jednak na prośbę parafian powrócił do swoich obowiązków duszpasterskich. Po 50 latach kapłaństwa otrzymał od

papieża Leona XIII złoty kielich i mszał, a także uznanie za swoją działalność. Zmarł 31 listopada 1894 roku w wyniku ran zadanych przez nieznanych bandytów, co było tragicznym końcem jego życia. Jego śmierć była wielką stratą dla społeczności irkuckiej, która złożyła hołd temu wybitnemu kapłanowi, nazywając go jednym z największych księży polskich XIX wieku. Ojciec Szwermicki pozostawił niezatarty ślad w sercach swoich wiernych, którzy wspominali go jako człowieka pełnego miłości, oddania i poświęcenia dla drugiego człowieka. Do dziś namacalną pamiątką jego działań jest kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Irkucku (tzw. polski kościół) wzniesiony przez ojca Szwermickiego w latach 1881–1884 na miejscu drewnianego kościoła katolickiego, który spłonął w wielkim pożarze Irkucka w lipcu 1879 roku. ■

Jan Wiśniewski



Doktor nauk humanistycznych, nauczyciel akademicki, w pracy naukowej koncentruje się na problematyce wojny domowej w Rosji z lat 1917–1922 oraz zagadnieniach bezpieczeństwa międzynarodowego, a szczególnie na konfliktach na obszarze byłego Związku Sowieckiego.

Moje SYBERYJSKIE DROGI

Kiedy jednego roku przyjechałem do domu na urlop, z oddali zobaczyłem mamę w słomianym kapeluszu, siedzącą przy domu. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” – zawołałem na powitanie. „Piotrusiu, kiedy ty przyjeżdżasz do domu, to zawsze zakwita róża”. Słowa te bardzo mnie zaskoczyły, ale też ucieszyły. Rozgrzały moje serce. Tylko matki potrafią tak umacniać swoje dzieci, ponieważ bardzo je kochają. Pomyślałem nawet, że w jej ustach to jakaś mistyka. Nie odpowiedziałem, a jedynie z uśmiechem spojrzałem na pięknie kwitnące kwiaty. I wtedy przyszła mi do głowy myśl, że moja mama sama jest jak piękna róża – rozkwita z radości, widząc swoje najmłodsze dziecko, przyjeżdżające do niej jedynie na urlop. Jestem bowiem zakonnikiem w Zakonie św. Franciszka z Asyżu, dlatego moje wizyty są rzadkie.



Może właśnie tak czuła się moja mama, mówiąc te słowa, ponieważ przez ponad 11 lat byłem na misjach w dalekim Kazachstanie i na Syberii. Do Polski przyjeżdżałem tylko raz w roku, na miesiąc, w ramach urlopu.

23 maja 1990 roku zostałem wyświęcony na kapłana po studiach w seminarium w Katowicach-Panewnikach. 1 czerwca 1993 roku wysłałem do zarządu prowincji prośbę o wyjazd na Wschód. Otrzymałem wówczas odpowiedź od prowincjała, ojca Hipolita Lipińskiego, że w tym roku wyjeżdża już dwóch współbraci i jeśli wytrwam w powołaniu misyjnym, mogę ponownie spróbować w przyszłym roku. I tak też się stało. Rok później definitorium wyraziło zgodę. Jednak zaskoczył mnie sam dekret od Generała Zakonu – skierowanie na wyjazd do Kazachstanu.

W kaplicy w ciszy słyszysz jakby bardziej bicie swojego serca, ale najbardziej bicie Serca Pana Jezusa. W takiej właśnie chwili zrodziła się we mnie myśl o wyjeździe na Wschód. Miało na to także wpływ pochodzenie moich rodziców, którzy po zmianie granic po wojnie przyjechali spod Lwowa na południe Polski. A gdy naszły mnie wątpliwości, że może to tylko fantazja, zaraz pojawił się obraz z mojego dzieciństwa, jak wspiąłem się na drzewo i z dziecięcą wyobraźnią „zobaczyłem rzesze ludzi”, i wołałem, krzyczałem, a nawet zapłakałem, żeby się nawracali. Gdy pisałem prośbę o wyjazd, myślałem o Ukrainie, a tu decyzja o wysłaniu

mnie do Kazachstanu. Kraju, w którym mieszka ponad 135 narodowości. Wtedy zrozumiałem, że już jako dziecko pragnąłem głosić Ewangelię ludziom różnych narodów.

Na dziesięć lat Kazachstan stał się moją drugą ojczyzną, czułem się tam jak w domu. Z łatwością mogłem otwierać nowe wspólnoty i w końcu naliczyłem ich 18. Były rozsiadane w trzech rejonach na południu. Grupy taneczne – dziecięca i młodzieżowa – prowadzone przez uzdolnioną osobę z Domu Kultury ze wsi Kosmos, drużyna piłkarska seniorów oraz letnie rekolekcje dla dzieci i młodzieży były wspaniałym motorem do ewangelizacji i otwierania serc dla diaspory katolickiej w tym kraju. Był to piękny, błogosławiony czas, umocniony wizytą papieża Jana Pawła II w stolicy Kazachstanu, Astanie – jeszcze większym znakiem obecności naszego Kościoła w Azji.

Przełożeni podczas kapituły na Alwerni – w miejscu, gdzie św. Franciszek otrzymał stygmaty – podjęli decyzję o wysłaniu mnie po dziesięciu latach posługi w Kazachstanie na Syberię, do Nowosybirsku. Na pożegnanie, 3 kwietnia 2005 roku, ze stolicy mieli przyjechać pracownicy polskiej ambasady i wierni z trzech rejonów mojej rozległej parafii. Grupa taneczna „Wizyt” przygotowała specjalny występ, rozwieszono kolorowe baloniki i udekorowano stoły. Zorganizowano również tzw. *czajopitie*, czyli tradycyjny rosyjski rytuał picia herbaty,



■ Święcenia kapłańskie o. Kaliksta w Katowicach, 23.05.1990

podczas którego serwowane są słodycze. Moje pożegnanie zmieniło jednak swój charakter, kiedy 2 kwietnia umarł nasz kochany papież Jan Paweł II. Cały wystrój uległ zmianie i nabrał żałobnego charakteru. Ze śmiercią papieża niejako zakończy-

Pewnego razu odprawiałem Mszę Świętą w jakimś klubie. Stół pingpongowy nakryty do połowy białym obrusem posłużył za ołtarz, wokół stały dzieci i młodzież, a za mną wisiał nie jakiś pobożny obraz, ale plakat z karabinem *kataszników*.

ła się moja misja w Kazachstanie...

Jedni odjeżdżają z misji, a na ich miejsce przyjeżdżają nowi. Kiedy już załatwiłem wizę do Rosji, a nie było to łatwe, mogłem w końcu polecieć do Nowosybirsku. Był kwiecień. Padał puszysty śnieg. Z bagażem w ręku wchodziłem do samolotu, myśląc, że może nie polecimy. Prawie nic nie było widać, wszędzie pełno śniegu, ale dla tych ludzi to nic takiego, więc po kilku godzinach wylądowałem

w dwumilionowym Nowosybirsku, stolicy Syberii. Przyjechali po mnie współbracia – ojciec Corrado Trabucchi z Włoch i ojciec Gracjan Piotrowski pochodzący z Polski. Od miejscowego biskupa Józefa Wertha, z pochodzenia Niemca (wielu Niemców zostało zesłanych na Syberię przez Stalina), otrzymałem dekret na objęcie probostwa rozległej (tutaj to normalne) parafii w mieście Bierdsk.

Jezuita, ojciec Józef, który przede mną sprawował posługę na terenie mojej parafii, miał za zadanie oprowadzić mnie po wszystkich jej placówkach. W pierwszą niedzielę udaliśmy się 35 kilometrów od Bierdska, by odprawić Mszę Świętą w małej, około 30-osobowej wspólnotie, w której młodzież tak pięknie śpiewała na głosy. Innego dnia wybraliśmy się do miejscowości, w której był już zaplanowany Chrzest Święty dziecka. Długo jechaliliśmy Ładą Nivą, terenówką bez wspomagania kierownicy, przez

las. Około godziny 24:00 rozpoczęliśmy Mszę Świętą, po której odbył się chrzest. Potem obowiązkowy tort i powrót tą samą drogą do Bierska. Kiedy w drodze powrotnej ojciec Józef zobaczył jakieś zwierzątko, zatrzymywał samochód, aby światłami „dogonić” i przyjrzeć się jego pięknu. Natomiast kiedy było jeszcze widno, zatrzymywał się, aby popatrzeć na kwiaty. Jezuita, a w nim duch franciszkański! Do domu wróciliśmy o 4:00 nad ranem.

Pewnego razu odprawiałem Mszę Świętą w jakimś klubie. Stół pingpongowy nakryty do połowy białym obrusem posłużył za ołtarz, wokół stały dzieci i młodzież, a za mną wisiał nie jakiś pobożny obraz, ale plakat z karabinem *kalasznikow*. Innym razem ojciec Józef powiedział: „Kalikst, po Mszy Świętej zawieź jednej babci Komunię Świętą, a ja przygotuję rodziców do chrztu”. Wziąłem więc Komunię i wsiadłem do Nivy. Szybko ogarnął mnie podziw dla ojca Józefa! Jak on

jeździł tyle kilometrów takim samochodem? Ledwo starczyło mi sił tego dnia.

Raz w tygodniu odprawiałem Mszę Świętą u Sióstr Misjonarek Miłości od Matki Teresy z Kalkuty. Nie miały pralki, telewizora ani samochodu. Pomagaliśmy im w razie potrzeby. Kiedyś siostry poprosiły mnie, abym zawiózł je z dokumentami do urzędu. Innym razem wspólnie zorganizowaliśmy konkurs gry w warcaby z udziałem bezdomnych. Wygrała wtedy siostra z Łotwy. Były nagrody i dyplomy z pieczętkami Misjonarek Miłości i mojej parafii. Przełożona sióstr z Indii, siostra Gilbert, opowiadała mi o zwyczajach zgromadzenia. Mówiła, że wszystkie siostry noszą przy sobie krzyż, schowany za habitem, i kiedy są w niebezpieczeństwie, chwytają go. „I czy to pomaga?” – zapytałem. „Niech ojciec sam zobaczy” – i pokazała mi swój krzyż, już bardzo stary i wytarty na dowód tego, że wiele razy ją bronił. „I nosimy

też szpilkę” – dodała. Uśmiechnąłem się. „A po co wam szpilka?” – zapytałem. Siostra cierpliwie mi tłumaczyła: „Bo kiedy jedziemy w tramwaju i mężczyzna zaczyna się za bardzo przytulać, to ja wtedy go szpilką w bok! I mam spokój” – zakończyła z tryumfem.

Pewnego razu zapuściliśmy się samochodem niemal na koniec świata – przez tajgę do wsi Konio-wo, gdzie jedynymi katolikami było małżeństwo w podeszłym wieku. Droga wiodła przez lasy. Na nieszczęście nie miałem wtedy jeszcze Łady 110, którą później kupiłem prosto z salonu. Byłaby dobra na tamte warunki. To były piaszczyste lasy, wszystek kurz przeciskał się do auta. Nowa Łada, dzięki szczelnym oknom, na to by nie pozwoliła. Po drodze przez lasy tubylcy sprzedawali jagody, a jeszcze dalej przy wioskach – ryby. W końcu, po przejechaniu 250 kilometrów, dotarliśmy do Koniowa. Zobaczyliśmy drewniany dom, bez żadnych luksusów cywilizacji. Obok niego stał żuraw. Przez wioskę przebiegała piaszczysta droga, zabudowania były drewniane, ubogie. Weszliśmy do domu wspomnianego małżeństwa razem z siostrą Adelą, organistką w już dość podeszłym wieku, oraz towarzyszącym nam studentem Aleksandrem, który był dla nas jak GPS – świetnie znał te tereny. Przy stole, przy którym miała być odprawiona Msza Święta, staruszek lepił pierogi. Pod łóżkiem stała miska pełna jajek, a na nim siedziała jego uśmiechnięta, ale sparaliżowana żona. Przy okazji tej



■ Wieś Żanaszar na Syberii, miejsce rekolekcji

wizyty ustaliliśmy z mieszkańcami datę chrztu dzieci. Kilkoro, zarówno starszych, jak i młodszych, łącznie może z siedem osób, ochrzciłem podczas kolejnej wizyty. Zapytałem kiedyś miejscowych z Koniowa, kiedy ostatni raz był u nich *batiuszka* (kapłan prawosławny). Chyba nigdy go u nich nie było, bo odpowiedzieli: „Byli u nas trzy lata temu, grali na gitarze i więcej nie przyjeżdżali, prawdopodobnie byli to protestanci”. Ludzie tam byli bardzo „głodni” Boga. Tym bardziej, że prześladowano ich za wiarę.

Kiedy w odwiedziny przyjechali do mnie przyjaciele z Kazachstanu, Sieryk i Sasza, pojechaliśmy do miasta Iskitim, do miejsca, gdzie pośród brzoź biło źródło. Przyjeżdżali tam miejscowi, przeważnie prawosławni, i nabierali wody do pięciolitrowych butelek, wierząc w jej uzdrawiającą moc. Niegdyś komuniści zamordowali tam prawosławnych kapłanów i biskupów. Na miejscu ich męczeństwa wytrysnęło źródło. Wierzący zaczęli nabierać

tej wody, kąpać się w niej, a z czasem stwierdzono, że miejsce to otrzymało błogosławieństwo od Boga. Podobnie jak w Lourdes czy w Gietrzwałdzie ludzie doznają tam wielu uzdrowień. Ja tylko przemyłem bolące oczy i poczułem wielką ulgę. Dziś stoi tam cerkiew prawosławna i jest to miejsce licznych pielgrzymek.

W centrum mojej parafii przeprowadziliśmy rekolekcje dla biednych dzieci, zorganizowane na prośbę siostry Marceliny, która się nimi opiekowała. Dzieciaki wraz z nią mieszkaly w górnych pomieszczeniach kościoła, a ja w zakrystii. Pewnego dnia wchodzę do świątyni, a tam dzieci siedzą w koronach na głowach. Był to pomysł siostry na to, aby przedstawić im naszą godność królewską, którą otrzymujemy dzięki łasce chrztu świętego.

Nasi rodacy, ochrzczeni przed laty przez kapłanów, którzy poświęcali się, a nieraz byli aresztowani i więzieni w łagrach, mogli cieszyć się, że księża przekazali im wiarę. Polacy są rozsiani po lasach Syberii na

przestrzeni wielu kilometrów. Tutaj nie liczą się liczby, ale każdy człowiek. Pewnego razu wraz z siostrą Adelą, która jest jeszcze na misji, jechaliśmy 180 kilometrów do wsi Spirino, oczywiście z dobrze znającym te tereny studentem Aleksandrem. Tutaj także wieś drewniana, przed domami dużo porąbanego drzewa. Przy płotach rosły piękne brzozy, które swoją białą korą jakby świadczyły o prostocie tych ludzi. Msza Święta nie dla tłumów, ale dla pani Wandy, Polki, i jej męża, który chociaż jest prawosławnym Rosjaninem, uczestniczył we Mszy Świętej, podczas której wybrzmiewały śpiewy w języku polskim. Po Mszy na tym samym stole, który służył za ołtarz, zjedliśmy smaczny obiad przygotowany przez uśmiechniętą i gościnną gospodynię, tak dobrze znającą los zesłańca. Kiedyś jej syn mieszkający w Nowosybirsku chwalił się z dumnie podniesioną głową, że jest potomkiem polskich powstańców, chociaż sam mówił już jedynie w języku rosyjskim.

Po Spirino ruszyliśmy dalej – do małego miasteczka, którego nazwy już nie pamiętam. Mieszka tam niewielka diaspora polska. Po Mszy Świętej znowu częstowano nas własnymi wypiekami i innymi daniami. Wracając do Bierdska, doświadczyliśmy szczególnej opieki Bożej. Siostra Adela siedziała obok mnie, ja za kierownicą, za nami Sasza. Siostra na głos czytała Litanię do Najświętszego Serca Pana Jezusa. Byliśmy już na głównej, szybkiej trasie, kiedy nagle przed maską naszego samochodu inne auto skręciło



■ O. Kalikst udziela chrztu świętego w Kaniowie na Syberii



■ Powitanie misjonarza we wsi Oktiabr na Syberii

w boczną drogę, wymuszając pierwszeństwo. Jakimś cudem odbiłem w bok. Gdyby nie ten manewr, mielibyśmy czołowe zderzenie przy prędkości 90 kilometrów na godzinę. Dopiero później z niezachwianą pewnością uświadomiłem sobie, że to Serce Jezusa mną pokierowało.

Klimat, surowy styl życia, wielkie odległości – wszystko to wpływa na charakter i sposób bycia na Syberii. Można głęboko współczuć tym z naszych rodaków, co tam zostali, często już w mieszanych rodzinach, i modlić się za tych, którzy wycieńczeni pracą, tęsknotą za Ojczyzną tam zostali pochowani i nigdy nie wrócili do swojego rodzinnego domu. Opowiadała mi jedna pani w Polsce, jak jej ojciec trzy lata spędził z Syberii, pracując jako parobek u bogatych ludzi i mając różne przygody po drodze, by w końcu dotrzeć do ziemi ojczystej, gdzie założył rodzinę. Ta pani ma obecnie ponad 83 lata i jeszcze opiekuje się swoim dorosłym niepełnosprawnym synem. Gdy byłem w tej miejscowości,

co miesiąc przynosiłem mu Komunię Świętą.

Raz, gdy jechaliśmy zimowym wieczorem, kończyło mi się paliwo. Pomyślałem wtedy z drżącym sercem, że już po nas. Gałęzie obarczone bezlitośnie grubą warstwą śniegu jakby wołały: „Podtrzymajcie moje ręce” – aż im współczułem. Mój towarzysz podróży, Siergiej, mówił: „Ojciec – w lewo, ojciec – w prawo”, ponieważ można było łatwo wpaść w zaspę i z niej nie wyjechać. Pytałem młodzieńca: „A jak kobieta jest w stanie błogosławionym albo ktoś ciężko zachoruje, to jak przyjedzie tutaj pogotowie?”. Po długiej drodze, zaciemnionej gałęziami drzew, nagle w dole pojawiła się oświetlona wioska. Byliśmy u celu. Przywitała nas staruszka w połatany fartuszek, przed nią worek wykopanych ziemniaków. Głupio brać, ale nie wolno odmówić. Staruszka ma już ponad 90 lat. W domu swój chleb, bułeczki i *warienie*, czyli dżemy własnej roboty. Na Syberii trzeba być przygotowanym na wszystko. Jak nas

zasypie śniegiem, musimy przetrwać. A na koła samochodu obowiązkowo trzeba mieć tzw. *szipy*, czyli metalowe łańcuchy. Inaczej wpada się w poślizg.

Niestety wyjechałem z Syberii jeszcze w tym samym roku z powodów zdrowotnych. Musiałem przejść operację. Mój kościół parafialny w Bierdsku spłonął jakiś czas później. Dziś w jego miejscu stoi nowa świątynia, a następni kapłani głoszą Dobrą Nowinę – bo przecież Kościół będzie trwał do końca. Ja wróciłem do Polski i mile wspominać dni, które Pan dał mi przeżyć na misjach na Wschodzie. Tam doświadczyłem Jego niegasnącej miłości, w miejscu, gdzie wschodzi słońce i pada puszysty śnieg, czasami nieustannie nawet przez trzy dni.

Pamiętajmy w modlitwie o naszych misjonarzach, pracujących w ciężkich warunkach – wśród naszych rodaków i nie tylko. Życzę Czytelnikom miłej lektury przy moim skromnym świadectwie z krótkiego pobytu na Syberii. ■

o. Kalikst Piotr Salak



Franciszkanin, święcenia kapłańskie przyjął 23 maja 1990 roku. W latach 1994–2005 pełnił posługę misyjną w Kazachstanie i na Syberii. Bohater reportażu pt. „I daj nam ślicznych i świętych kapłanów” i autor amatorskiego filmu o parafii w Kazachstanie pt. „Franciszkanie w Kazachstanie” na YouTube.

Wiara w cieniu komunizmu

Duszpasterstwo małych DRZWI

o. Andrzej Zalewski SVD

■ Dziewczynki z parafii greckokatolickiej o. Andrzeja, wieś Kulikowo, obwód królewiecki



Minęło już pięć lat od dnia, w którym otrzymałem zakaz wjazdu do Rosji po ośmioletniej pracy misyjnej w tym kraju. Niedługo przed moją deportacją zostałem skazany przez sąd w Kaliningradzie za działalność misyjną, która w Rosji jest prawnie zakazana. Dzisiaj jestem dumny z tego, że tak niegodziwa władza wydała mi świadectwo mojej misyjnej działalności, a jedyną moją winą było, jak zapisano w uzasadnieniu wyroku, „odprawianie liturgii św. Jana Złotoustego”. Nawet biskup nie dał mi takiego świadectwa, jakie dał mi rosyjski sąd! Skazanie za misyjną działalność jest dla misjonarza najpiękniejszą nagrodą. Wcześniej jedynie czytałem o takich sytuacjach w książkach i słyszałem wspomnienia ludzi, którzy przeżyli terror ZSSR, a teraz ja doświadczyłem tego osobiście. Dzięki temu już wiem, że za możliwość i przywilej głoszenia Słowa Bożego płaci się cierpieniem. Rosja przez 70 lat systemowej ateizacji ludzi jest duchową ruiną – tak, jak w ruinę zamieniły się trynastowieczne świątynie w obwodzie królewieckim, wybudowane przez Krzyżaków, które stały przez setki lat, ale nie wytrzymały 70 lat walki z Bogiem.

Krym

Do Eupatorii na Krymie (ówczesna Ukraina, a obecnie teren okupowany przez Rosję) przybyłem we wrześniu 2010 roku. Czułem się tam wspaniale – ludzie byli życzliwi i bardzo wierzący. Tamtejszy Kościół Katolicki

był dosyć młody, dlatego też ludzie byli niesamowicie mocno wierzący, jak neofici. Jednym słowem: byli autentycznymi chrześcijanami.

Starożytni Grecy założyli Eupatorię ponad 2500 lat temu. Jest to miasto uzdrowiskowe – sanatoriów jest tu około 300, może więcej. W 2010 roku Eupatoria liczyła 130 tysięcy mieszkańców. Ja mieszkalem w klasztorze Misjonarzy Oblatów, albowiem u greckokatolickiego kapłana nie było miejsca.

Nasza parafia była bardzo młoda. Istniała od 1997 roku, ale dopiero 17 kwietnia 2010 roku został konsekrowany kościółek parafialny. Samych wiernych było około 100 osób, a obszar parafii rozciągał się w promieniu około 180 kilometrów od Eupatorii. W ramach działalności duszpasterskiej prowadziłem kręgi biblijne i głosiłem homilie (w środy po ukraińsku, w soboty po rosyjsku). Dwa razy w tygodniu jeździliśmy do wiosek oddalonych od Eupatorii o 100 kilometrów. Dla ludzi tam żyjących przyjazd na niedzielną Mszę Świętą był niemożliwy. W wiosce Dalekoje mieszkało pięć osób, w wiosce Sławnoje jedna 80-letnia babcia, a w wiosce Razdolnoje kobieta z upośledzonym dzieckiem. W wiosce Czerniszewo było co prawda siedem osób, ale one dopiero przygotowywały się do przyjęcia sakramentów, dlatego dla nich organizowaliśmy tylko katechezy i wspólną modlitwę. Byłem tam szczęśliwy i bardzo się cieszyłem, że mogłem choć przez jakiś czas być częścią tej wspólnoty wierzących.

Potrzeba misjonarza

W Eupatorii miałem okazję spotkać Jego Eminencję Kardynała Lubomyra Huzara. Od niego dowiedziałem się, że już w latach 90. grekokatolicy z ówczesnego obwodu kaliningradzkiego pisali listy z prośbą o przysłanie im kapłana. Od tego momentu dojrzewała we mnie chęć służenia mieszkańcom Kaliningradu. Ostatecznie przez osiem lat pełniłem tam posługę kapłańską, opiekując się około setką wiernych. Często były to osoby starsze, które dopiero pod koniec życia miały okazję modlić się w swoim rycie. Pamiętam świadectwo pewnej kobiety, która przez całe życie była poniżana za wierność Bogu, ale nie chciała się wyrzec swojej wiary. Kiedy upadł komunizm i otwarto cerkwie, prawosławni księża wyrzucili ją oraz odmówili spowiedzi i komunii, ponieważ

była grekokatoliczką. Udała się nawet do miejscowego biskupa prawosławnego i poprosiła o pisemne pozwolenie na spowiedź i przyjmowanie komunii w kościołach prawosławnych. Otrzymała takie pozwolenie. Ta poniewierka skoń-

Po 70 latach pani Giela drugi raz w życiu zobaczyła Biblię. Kapłan oznajmił, że przywiózł trzy egzemplarze i podaruje jej jeden w prezencie. Widziałem tę Biblię. Kartki były poczerwieniałe od wielkiej ilości wertowania.

czyła się wraz z moim przyjazdem do Kaliningradu.

Obwód królewiecki oraz ówczesną Autonomiczną Republikę Krymu zamieszkiwała mieszanka etniczna wielu narodów. W obwodzie królewieckim byli to: Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Polacy, Litwini, Komi, Mordwini, Ormianie

i wiele innych. Ukraińcy, których byłem duszpasterzem, pochodzili w większości z zachodnich regionów ojczyzny. Republikę Krymu zamieszkiwali z kolei: Tatarzy, Karaimi, Ukraińcy, Rosjanie. Aż do lat 60. Kaliningrad i Krym były zamkniętymi jednostkami wojskowymi, w których osiedlali się żołnierze z rodzinami. Wielu przyjechało na te tereny, bo na przykład ojciec był radzieckim generałem Armii Czerwonej. Taka właśnie była zasada zasiedlania tych regionów w czasach Związku Radzieckiego – przez imigrantów z różnych republik socjalistycznych.

Pani Giela

Historia wszystkich naszych wiernych w Rosji to temat na przepiękne *duszeszczipatielnyje*, czyli wzruszające opowiadania. Po moim przyjeździe do tego kraju pani Giela uczyła mnie śpiewu pieśni kościelnych po rosyjsku. Na Mszy Świętej księdza mogło nie być, ale pani Giela była zawsze. Urodziła się na terenach dzisiejszej Białorusi jako obywatelka Związku Radzieckiego. Wspomina, że rodzice byli bardzo biedni i ciężko pracowali w kolchozie. Ona jako czteroletnia dziewczynka całymi dniami pasła gąski sama na łące i, co bardzo mocno podkreślała, zawsze była głodna. Każdego wieczora po kolacji, jedynym posiłku w ciągu dnia, jej mama zamykała się sama w pokoju i prosiła, by jej nie przeszkadzać. Pani Giela widziała przez



■ Statki Floty Czarnomorskiej w porcie w Sewastopolu na Krymie



■ Wigilia Bożego Narodzenia, dzielenie się prosforą z wiernymi z parafii w obwodzie królewieckim

szczelinę w drzwiach, jak mama klęczy przy łóżku z poduszką w rękach. Zaintrygowana dziewczynka pod nieobecność rodziców weszła do pokoju. Schwyciwszy poduszkę, wśród gęsich piór znalazła malutką, starą, pożółkłą książeczkę, na której było napisane jedno słowo: *Biblia*. Dziewczynka tak się zajęła jej oglądaniem, że nie zauważyła powrotu rodziców. Matka zamknęła drzwi i z wielką surowością zabroniła Gieli mówić komukolwiek o książce. W tamtym czasie za samo posiadanie Biblii groziło zesłanie na Sybir. Po śmierci matki dziewczynkę oddano do szkoły z internatem. Później wstąpiła do Armii Czerwonej i trafiła na służbę wojskową do Gwardiejska w obwodzie kaliningradzkim. Jak sama mówiła, dawna tajemnica rodziców w czasie bezbożnej władzy uratowała jej wiarę, której nigdy nie

utraciła. Kiedy w Kaliningradzie utworzono szkołę parafialną, już jako emerytka zapagnęła ją ukończyć, aby nadrobić stracony czas i poznać Pana Boga. Już pierwszego dnia nauki w jej głowie pojawiły się pytania, które krępowała się zadać, aby nie okazać się śmieszną w oczach innych. Po skończonej katechezie pani Giela nieśmiało podszła do biurka księdza, a jej wzrok padł na książkę. W tym momencie odczuła, jakby przeszedł przez nią prąd z powodu słowa widzanego w dzieciństwie – tego, o którym mama w wielkim przełknięciu kazała zapomnieć. Po 70 latach pani Giela drugi raz w życiu zobaczyła Biblię. Kapłan oznajmił, że przywiózł trzy egzemplarze i podaruje jej jeden w prezencie. Widziałem tę Biblię. Kartki były poczerniałe od wielkiej ilości wertowania. Wszystkim życzę, aby mieć takie marzenie

przeczytania Biblii, jak miała przez całe swoje życie pani Giela.

Przekazywanie wiary

Moje doświadczenia duszpasterskie w Królewcu pokazały, że najlepszym i najskuteczniejszym sposobem szerzenia wiary jest przekazywanie jej przez rodziców dzieciom. Kiedy jako ksiądz nauczam religii i modlitwy, postrzegane jest to rutynowo, ale kiedy dzieci dowiadują się o Bogu od swoich rodziców i przeżywają modlitwę w domu, pamiętają to przez całe życie. Dzisiaj w Rosji ludźmi wierzącymi i obecnymi w Kościele są właśnie ci, których wiary nauczyli rodzice lub dziadkowie. To jest lekcja, której udzielili mi moi starsi parafianie. Pewna kobieta opowiadała mi, jak będąc dzieckiem, słyszała z rodzeństwem od swojej matki: „Teraz nie ma kościoła, ale gdy nadejdzie czas, idźcie do kościoła, w którym jest papież, ponieważ tam, gdzie jest papież, jest prawdziwy Kościół”. Jako małe dzieci nic z tego nie rozumiały, ale zapamiętały słowa matki. Innym razem ochrzciłem osiemdziesięcioletnią kobietę, której matka była staroobrzędowcem. Od dzieciństwa matka przykazywała jej i rodzeństwu: „Nie idźcie do prawosławnych, bo nas prześladowali. Lepiej idźcie do unitów, do grekokatolików”. Dopiero kiedy w Królewcu powstała grekokatolicka parafia, ta starsza babcia została ochrzczona.

Związek Radziecki zostawił wielką ranę w sercach ludzi tamtych czasów, wzbudzając nieufność, strach



■ Wspólnota parafialna po liturgii Bożego Narodzenia, obwód królewiecki

i ostrożność wobec siebie nawzajem, a w szczególności wobec Kościoła. Ktoś padł ofiarą oszczerstw i donosów, ktoś inny po prostu wychował się w takim środowisku. Ale w żywych relacjach przyjacielskich rodzi się proste, ludzkie zaufanie, które dla człowieka może stać się bramą do wiary. Nazwałem to „duszpasterstwem małych drzwi”. Myślę, że duszpasterstwo zaczyna się od zwykłych ludzkich relacji. Po prostu zaprzyjaźnij się z człowiekiem, który otwiera przed tobą drzwi swojego serca i życia. Czasem ktoś cię zaprosi do siebie lub z ciekawości podejdzie, żeby zapytać, kim jesteś, bo jesteś pierwszym księdzem, jakiego zobaczył w swoim życiu! Więc na początku po prostu stań się ich przyjacielem. Zainteresuj swoim stylem życia, kościołem, ceremonią. Dzięki temu stopniowo będziesz miał okazję opowiedzieć im o Tym, w którego wierzysz, o Słowie Bożym i jak według niego żyć.

Siła jednego człowieka

Jako kapłan miałem okazję odbywać staż w hospicjum i odwiedzać osoby starsze. Jakże były szczęśliwe, gdy po prostu przychodziłem i urozmaicałem ich monotonne życie! Tam zobaczyłam, że czasami sama obecność wystarczy, aby stać się światłem w czyimś życiu. A skąd brać siły do takiej służby? Myślę, że pochodzą one z modlitwy i obecności przed Bogiem.

Wierzę, że jeden święty kapłan lub sprawiedliwy człowiek wystarczy, aby uratować cały region. Świętość jednego człowieka uświęca cały Kościół i miejsce, w którym on mieszka. Myślę, że wszyscy mnisi ze wspólnot zamkniętych, którzy się modlą i prowadzą prawe życie, ratują świat. Mam na myśli sprawiedliwość nie jako bezgrzeszność, ale jako uczciwość wobec siebie, wobec Boga i wobec innych, czyli życie w prawdzie. Dlatego życzę wam, abyście dawali z siebie to, na co was

stać, a Bóg to pomnoży. I zawsze pamiętajcie, że żyjemy w jedności z Bogiem, który jest wierny. Jeśli zapomnimy o tym sojuszu, nasza siła zmniejszy się i stracimy grunt pod nogami. Jeśli Bóg jest naszym sprzymierzeńcem, to zatroszczy się o nas i o wszystko, czego potrzebujemy, oraz pomnoży nasze drobne wysiłki dla dobra ludzi, których kocha. ■

o. Andrzej Zalewski



Werbista, duszpasterz grekokatolików na Podlasiu, rektor domu rekolekcyjnego Księży Werbistów w Kleosinie. Urodził się w Reszlu na Warmii. Święcenia kapłańskie przyjął 28 kwietnia 2013 roku.



Zostań WOLONTARIUSZEM

Sekretariatu Misji Zagranicznych Księży Sercanów

Ze snu, który zmorzył mnie po 40 godzinach podróży, wyrwały mnie znajome odgłosy – przesuwanie mebli, moczenie szmaty do podłogi w wiadrze pełnym wody i energiczne jej wyciskanie, nawoływania do pobudki, szybkie kroki... Wstałam z łóżka, otworzyłam drzwi i nieco zaspanym jeszcze głosem zapytałam: „¿Qué hora es?” („Która godzina?”), na co jedna z młodszych dziewczynek radośnie odpowiedziała: „¡Hora de jugar!” („Godzina zabawy!”). Wiedziałam, że nie ma na co czekać, dziewczynki czekają!

Monika Deja
sercańska wolontariuszka w Boliwii

Nasi wolontariusze mają możliwość wyjazdu w miejsca posługi sercańskich misjonarzy, aby pracować głównie przy opiece i animacji czasu dla dzieci w krajach takich jak Albania, Filipiny czy Boliwia.

KONTAKT: ks. Zbigniew Chwaja SCJ, tel. + 48 668 363 731

www.misjesercanow.pl/wolontariat

A myśleliśmy, że mamy tak źle...

Jestem Dominikanką, od 30 lat posługuję w Żółtkwi na Ukrainie. Wyjechałam, bo taka była potrzeba. Po wybuchu wojny, gdy mówili: „Wracajcie”, zostaliśmy. Nie mogliśmy inaczej.



Nauka wolności

Przyjechałam na Ukrainę w 1995 roku, w pierwszych latach po odzyskaniu przez ten kraj niepodległości (oficjalnie stało się to 24 sierpnia 1991 roku). Ukraina właściwie do tej wolności nie była przygotowana. Nagle wszystkie struktury państwowe Związku Radzieckiego przestały istnieć, a nie było jeszcze nowych. Najprostszy przykład: nagle zniknął pieniądź. Dosłownie. Rubel zniknął, zostały jakieś kuponiki nazywane karbowancami. Nosiło się je w reklamówkach, ponieważ płacono się w milionach. To był dziwny świat. Tutaj na peryferiach (Żółkiew to małe miasteczko) właściwie obowiązywał tylko handel wymienny. Nie było prądu. Nie było wypłat dla pracowników. Ludzie nie otrzymywali emerytur.

Od tamtej pory minęło niemal 30 lat. Ukraina przed wojną była już krajem nowoczesnym. Może

nie tak wysoko rozwiniętym jak państwa członkowskie Unii Europejskiej, ale jednak był to kraj demokratyczny. Miał wszystkie podstawowe instytucje, własną elitę polityczną i pokolenie ludzi wychowanych w wolności. Ludzi, którzy dążyli do samorozwoju, którzy już nie pamiętali, a nawet nie znali Związku Radzieckiego. To była już inna jakość myślenia, oceniania i wartościowania.

I taki był nasz cel, wtedy, w latach 90. – przyjechać tu i mieć udział w tworzeniu społeczeństwa, które jest patriotyczne, ale przede wszystkim prezentuje w swoim życiu jakieś wyższe wartości. System, który minął, pozostawił po sobie spustoszenie duchowe. Kościoła jako takiego, czy raczej Cerkwi Greckokatolickiej (pamiętajmy, że katolicy rzymscy stanowią na Ukrainie zaledwie 1%) oficjalnie nie było. A skoro nie było Kościoła, nie było także

katechezy ani przekazywania wiary inaczej niż w sposób niemal tajny – jedynie babcie w domach opowiadały o Bogu.

Kiedy przyjechałyśmy do Żółkwi, to były pierwsze próby odzyskiwania świątyń, gromadzenia ludzi, pokazywania, co to w ogóle jest katecheza. Wtedy to był bardzo misyjny Kościół, budowaliśmy go od zera.

Ta misyjność – mimo że dziś jest to Kościół uformowany, ze strukturami – nadal jest tutaj aktualna. Obecnie, gdy przyjeżdża do nas dużo ludzi ze wschodniej Ukrainy, zupełnie pozbawionej korzeni chrześcijańskich, potrzeba głoszenia Chrystusa i Ewangelii nie maleje. Pytają, kim jesteśmy, dlaczego pomagamy. Nie potrafią tego zrozumieć. W ich mentalności dobroć jest słabością.

„Nauczcie nasze wnuki języka polskiego”

Żółkiew to małe miasteczko, przed wojną liczyło niespełna 14 tysięcy mieszkańców. Myślę, że dziś zostało może dwie trzecie tej liczby. To nasze macierzyste tereny, z których pochodzi matka założycielka, Czcigodna Służebnica Boża Róża Kolumba Bialecka. Tu były nasze pierwsze klasztory. W latach 90. naszą pracę zaczęłyśmy właśnie od katechezy.

Budynek kościoła był już odzyskany, ale to była ruina. Mieliśmy księdza z Rygi, który odprawiał Msze Święte. Ludzie byli bardzo chętni do współpracy. Zapytałyśmy, jakie mają oczekiwania. To były osoby po



■ Siostry Dominikanki posługujące w Żółkwi na Ukrainie. Od lewej: s. Sara Łakoma, s. Irmina Wójcik, s. Juwencja Dziedzic i s. Mateusza Trynda

pięćdziesiątce. Usłyszałyśmy: „Nauczcie nasze wnuki języka polskiego, tradycji polskiej i wiary, bo myśmy im tego nie przekazali”.

Żółkiew to właściwie ostatnia miejscowość przed poligonem jaworowskim. Powstał on na terenie, gdzie położonych było ponad 128 wiosek, z których co najmniej 50 pomagało ukraińskim partyzantom. Było to środowisko bardzo nacjonalistyczne, ukraińskie. Ludzie bali się przekazywać polską tradycję dzieciom, żeby nie narazić ich na Syberię czy śmierć. Starsze osoby jeździły do katedry, bo zależało im, żeby ich dzieci i wnuki przystąpiły do Chrztu Świętego i Pierwszej Komunii Świętej. Jednak nie uczyli oni bliskich niczego innego. Przekazywali tylko polskie tradycje i nie tłumaczyli, skąd się one wzięły. Po prostu: tak się robi i już.

To właśnie wtedy narodził się pomysł stworzenia sobotniej szkoły języka polskiego, w której oprócz języka uczyłybyśmy także historii, kultury i geografii Polski. Szkoła od samego początku cieszyła się dużą popularnością. Zaczynałyśmy od siedmiorga uczniów, za chwileczkę było ich już 15. A do końca roku nazbierało się ich około 90. Nie wszystkie dzieci miały polskie korzenie, ale lgnęły do nas, bo czuły, że to nie jest sowiecki sojuz, lecz coś zupełnie innego. Inny sposób traktowania. Inne podejście do dziecka. Tutaj można się było odezwać, porozmawiać z dorosłym jak „równy z równym”.



■ Laureaci konkursu pasywnego, którzy uczestniczyli we wszystkich nabożeństwach drogi krzyżowej w Wielkim Poście, odbierają dyplomy w kolegiacie żółkiewskiej

Nasza sobotnia szkoła działa do dziś. W tym roku szkolnym mieliśmy prawie 180 dzieci. Chętnych jest znacznie więcej, ale nie jesteśmy w stanie przyjąć wszystkich. Uczniowie są podzieleni na

Sobieskiego. Dbamy o ołtarze, o czystość bielizny kielichowej. Kościół ten przed II wojną światową był jedną z trzech najważniejszych świątyń Rzeczypospolitej.

Z czasem podjęłyśmy się też opieki nad osobami chorymi i biednymi z naszej parafii. Trudno było nie pomagać, skoro miałyśmy znajomości w Polsce. Jednak naszą pracę najpierw ograniczyła pandemia, a potem wojna, która wszystko zmieniła. Tamten świat przeminął.

Zapytałyśmy, jakie mają oczekiwania. To były osoby po pięćdziesiątce. Usłyszałyśmy: „Nauczcie nasze wnuki języka polskiego, tradycji polskiej i wiary, bo myśmy im tego nie przekazali”.

dziewięć grup, każda ma dwie godziny języka polskiego i godzinę katechezy tygodniowo.

Do dziś opiekujemy się także kolegiatą, w której spoczywają przedstawiciele rodzin Żółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich. Są to między innymi hetman Stanisław Żółkiewski (fundator Żółkwi) oraz Jakub Sobieski, ojciec Jana III

24 lutego 2022 roku

Do dzisiaj trudno uwierzyć, że to się dzieje. Poszłyśmy rano na Mszę Świętą i dowiedziałyśmy się z ambony, że jest wojna.

Od pewnego czasu wiedziałyśmy, że sytuacja jest napięta, już były jakieś ruchy wojskowe. Same też



■ Wuhledar pół roku po wybuchu wojny, obwód doniecki

wywiozłyśmy nasze archiwum domowe za granicę. Nikt nie wiedział, jak to będzie. No i ta informacja w nas uderzyła wtedy z rana. W domu narady, zaraz dzwonił konsulat, czy wyjeżdżamy, czy nam pomóc w ewakuacji. Nasze władze zakonne od razu się z nami kontaktowały.

Byłyśmy we cztery. Trzy starsze siostry i jedna młoda siostra. Same postanowiłyśmy, że najmłodsza ma wyjechać, a my zostajemy. Oczywiście, nie chciała. Ale powiedziałyśmy, że trudno, musi słuchać. Wojna nie jest dla młodych.

Jeszcze tego samego dnia zawiozłam ją na granicę. Stałyśmy 17 godzin w kolejce. Wtedy myślałam, że to długo. Potem życie pokazało, że to bardzo szybko. Miasteczko Rawa Ruska, za którym znajduje się przejście graniczne, było tak zabite autami, że gdybym nie znała topografii tego miasta, pewnie bym z niego nie wyjechała i nie wróciła. Po

powrocie opowiadałam siostrze, co się dzieje. Jaki tłum ludzi jest na tej drodze. Stwierdziłyśmy: „Trzeba gotować barszcz, trzeba jechać do tych ludzi”.

To było tak, jakby ktoś przewrócił stronę w książce, że było jakieś życie i to życie się skończyło. To było zupełnie co innego. Nie było mowy o szkole, o zakupach, o regularnym życiu zakonnym. Po prostu świat z innej planety się rozpoczął w jednym dniu, w jednej chwili.

Zupa dla wszystkich

Mieszkamy przy drodze dojazdowej do granicy, mamy do niej raptem 46 kilometrów. Przez nasze miasteczko biegnie trasa zarówno z Lwowa, jak i z Kijowa do granicy. W tamtych dniach przewijało się mnóstwo przyjezdnych osób w różnym stanie. Nie miało znaczenia, czy są pieniądze, czy nie – i tak niczego

dało się kupić. W pierwszych tygodniach wojny przestał działać system bankowy. Nie ważne było, kto ile ma pieniędzy i jakim samochodem jeździ. Wszyscy tak samo potrzebowali zupy, chleba i herbaty.

W naszych sklepach niczego nie było, wszystko wykupione. Ale jak to w życiu bywa, dla miejscowych zawsze coś się znajdzie. Ci nasi dobrzy ludzie dostarczali nam i chleb, i wodę. Za chleb nie płaciłyśmy w ogóle. Robiłyśmy kanapki i woziliśmy na granicę.

Pod koniec marca coś trzeba było zrobić, bo tak dalej się nie dało. To był już ponad miesiąc takiego życia. Stwierdziłyśmy, że musimy opanować sytuację, żeby jakoś ocalić się w tym wszystkim. O wznowieniu szkoły jeszcze nie było mowy. Wiedziałyśmy, że już okupacji nie będzie. To była najgorsza niepewność – czy będzie okupacja, czy jej nie będzie, czy te wojska się zatrzymają, czy dojdą do nas. Uczucie paniki to coś okropnego. To jest takie doświadczenie, jakby były dwie rzeczywistości w człowieku. Ciało i rozum działają osobno. Trzeba było na nowo jakoś się scalić, żeby spać i żeby jeść. No i żeby działać jakoś programowo, żeby to nie było aż tak bardzo spontaniczne, że wszystko jedno, czy jest dzień, czy jest noc, trzeba być gotowym i biec z pomocą.

Uchodźcy

Nie wszyscy chcieli jechać za granicę. Na obszarze przygranicznym wszystkie szkoły szybko wypełniły

się uchodźcami ze wschodu. Najpierw z Mariupola, potem Berdiańska, Melitopola, Zaporozża. Charków wyludnił się w przeciągu trzech dni, a ci wszyscy ludzie spływali do nas.

Podróż trwała wieki. Nie było paliwa, można było tankować tylko po pięć litrów, więc to była taka pielgrzymka od stacji do stacji. Kolejki niesamowite. Trzeba było czekać, aż przyjedzie następna cysterna, żeby znowu te pięć litrów dostać. To były dantejskie sceny.

Mnóstwo kobiet za kierownicą, mężczyźni poszli przecież na wojnę. Było bardzo dużo ochotników. Armia nie była w stanie wszystkich przyjąć. Aż na taki napływ nie byli gotowi. Drogi wypełniły się autami z kobietami bez prawa jazdy jadącymi z dziećmi. To w ogóle nie do opisanego, co te kobiety wyprawiały na drogach, no ale ratowały się jak mogły...

Ruch na granicy w końcu się unormował i zaczęliśmy się zajmować uchodźcami. W okolicznych wioskach w czterech szkołach było ich 2,5 tysiąca. Razem z wolontariuszami na paletach woziliśmy do nich pomoc. Szkoły nie były przecież przystosowane do przyjęcia takiej liczby ludzi. Nie było ani łóżek, ani materaców, kołder, koców. Niczego nie było.

Nasza Fundacja Sióstr Świętego Dominika dostawała całe tony rzeczy z Europy i z Polski, pakowała to na tiry w Wielkopolsce i przewoziła do Żółkwi. To było 14 tirów w ciągu

trzech miesięcy. Do pomocy mieliśmy uchodźców i wolontariuszy, rodziców naszych uczniów, którzy

To było tak, jakby ktoś przewrócił stronę w książce, że było jakieś życie i to życie się skończyło. To było zupełnie co innego. Nie było mowy o szkole, o zakupach, o regularnym życiu zakonnym.

też bardzo ofiarnie odpowiedzieli na nasze prośby. Niektórzy pomagają nam do dzisiaj.

Pomoc

Po wybuchu wojny państwo ukraińskie wypłacało po 2000 hrywien (niecałe 200 złotych) na osobę. Dzieci i osoby niepełnosprawne dostawały po 3000 hrywien (około 300 złotych). Po dwóch latach zostały tylko zapomogi dla inwalidów

oraz dla matek samotnie wychowujących dzieci. Emeryci i bezrobotni zostali bez środków do życia. Zamierzeniem było skłonienie ich do poszukiwania pracy. Ale brutalna rzeczywistość jest taka, że co najmniej 40% z nich nie jest w stanie podjąć żadnej pracy. Oni wszyscy potrzebują leczenia, terapii, pomocy w powrocie do społeczeństwa.

„Wszystko od was mamy – od butów, przez bieliznę, do kurteczki. Dziecko też ubrałam u was. Gdyby nie żywność od was, nie mielibyśmy co jeść. Jestem nauczycielką, ale tu nie ma pracy dla nauczyciela. Sprzątam w szkole. To, co wypracuję, płacę za mieszkanie. Na życie i ubranie nic nie zostaje”. Takie historie, to nasz sens. Pomagamy, jak potrafimy. A oni mówią: „Robicie dla nas święto”. Przychodzą do nas po pomoc, a ona jest spakowana w jeden woreczek.



■ Auto trafione pociskiem w trakcie ewakuacji



■ Rozładunek pomocy humanitarnej z Polski

Po trzech latach znamy wszystkich z imienia i nazwiska. Wiemy mniej więcej, gdzie mieszkają, jaką mają rodzinę. Zaczepiamy ich troszeczkę, pytamy o zdrowie, o dzieci. Wtedy zaczynają rozmawiać. Okazuje się, że bardzo często jesteśmy jedynymi osobami w tym środowisku, które się nimi interesują. Dla nich ma to ogromne znaczenie, że ktoś w ogóle zapytał ich o rodzinę, o zdrowie, bo: „Przecież ja tu nikogo nie obchodzę”.

Chciałabym sercańskim Darczyńcom powiedzieć, że są wspaniali, kochani i cudowni. Bardzo, bardzo Wam dziękujemy. Jesteście jedynymi, którzy wciąż nam pomagają. Sekretariat Misji Zagranicznych Księża Sercanów jest jedyną organizacją, która nadal regularnie nas wspiera. A ci ludzie, którzy do nas przychodzą, za każdym razem bardzo dziękują, bo wiedzą, że bez Was nie daliby rady. Nie przeżyliby. Bo niestety żadne struktury państwowe się nimi nie interesują. Rzeczywiście jesteśmy jedyną organizacją, która im

pomaga. Czyli to Wy, drodzy Darczyńcy, jesteście dla nich jedynym źródłem nadziei i życia.

Wiem, że to bardzo trudne, przecież to już czwarty rok wojny i czwarty rok pomagania. Ale prosimy, nie przestawajcie. Żebyśmy przynajmniej tym, którzy nie radzą sobie z traumą, mogli dać nadzieję, że jak już im nic nie wyjdzie i nic nie będzie można załatwić, i nie będzie czego włożyć do garnka, to że jak przyjdą do nas, to coś dostaną. Chociaż tę kaszę i konserwę, by mieli co zjeść.

Trauma wojny

W tej chwili cały czas wydajemy żywność i ubrania. W Żółkwi zostało 700 uchodźców – takich, którzy rzeczywiście tej pomocy potrzebują, bo nadal nie poradzili sobie z utratą majątku. To jest bardzo duża trauma. Osoby starsze najczęściej chorują i to one odchodzą najszybciej. Jest to przykre, ale mamy takie właśnie doświadczenie: bardzo dużo 80-latków nie było

w stanie przeżyć tego, że cały dorobek życia przepadł i rodzina się rozjechała po Europie. To było dla nich zbyt traumatyczne i bardzo szybko odchodzili od nas. Organizowaliśmy nawet transporty ciał, żeby byli pochowani z rodziną na swoim cmentarzu. To były trudne momenty...

Niektóre matki, które zostały same z małymi dziećmi, wspaniale sobie poradziły, znalazły mieszkanie, dzieci chodzą do przedszkola. Ale są i takie, które potrzebują pomocy nie tylko psychologicznej, ale i psychiatrycznej. Ich dzieci też właściwie potrzebują terapii... Są ludzie, którzy cały czas żyją nadzieją, że wrócą. Oni jeszcze mają siłę walczyć o siebie. A są osoby, które wiedzą, że już nigdy do domu nie wrócą. One załamują się najczęściej. Wiem, że my też nie jesteśmy już takie same. Przez udział w tych wszystkich przeżyciach, przez to, co nam ludzie opowiadają i pokazują...

Za granicę pojechali ci, którzy mieli jakieś oszczędności, ale też

odwagę zaryzykować, mieli w sobie jakiś dynamizm życia. Natomiast u nas zostały osoby z wiosek, które nigdy z nich nie wyjeżdżały. Dla nich zmiana środowiska to jak wyjazd za granicę. Z dała od domu nie potrafią się odnaleźć. Nie mają znajomych, rodziny.

Nie ma tylu psychologów ani psychoterapeutów, żeby wytłumaczyć tym ludziom, co się z nimi dzieje, w jakim są momencie życia i jak mogą sobie pomóc. W naszym Kościele Rzymskokatolickim na terenie całej Ukrainy mamy chyba tylko trzech specjalistów, którzy mają doświadczenie, bo sami byli na froncie. Wiedzą, jak to wygląda, jak reagują osoby, które tracą wszystko w jednym momencie. Wszystko się urywa: znajomości, więzi rodzinne, szkoła, praca – wszystko po prostu przestaje istnieć. A człowiek jest

jak zawieszony we wszechświecie bez żadnej relacji.

Poczucie transcendencji

Jesteśmy zgromadzeniem rzymskokatolickim i wszystkim otwarcie o tym mówimy. Dla osób ze

Wiem, że to bardzo trudne, przecież to już czwarty rok wojny i czwarty rok pomagania. Ale prosimy, nie przedstawajcie. Żebyśmy przynajmniej tym, którzy nie radzą sobie z traumą, mogli dać nadzieję...

wschodu to abstrakcja. Trudno powiedzieć, czy ci ludzie mają doświadczenie Boga, ale na pewno jest w nich poczucie transcendencji – przekonanie, że istnieje jakaś siła wyższa. Na wojnie widać to jak na dłoni. Nikt nie potrafi

odpowiedzieć na pytanie: „Dlaczego mój dom stoi, a sąsiada rozleciał się do samych fundamentów? Dlaczego mój mąż zginął, a sąsiadki żyje, chociaż byli w tej samej brygadzie?”. Trudno przyjąć, że to tylko ślepy los, że wszystko jest przypadkiem. Takie podejście chyba całkiem obdarłoby z motywacji i sensu życia.

Natomiast widać, że osoby, które mają fundamenty wiary, nawet jeżeli od niej odeszły i zapomniały, to wracają. Bardzo mocno widać to wśród żołnierzy. Jak sami mówią, na wojnie nie można być niewierzącym. Jest wiele pięknych świadectw pisanych przez tych mężczyzn siedzących w okopach. Jeden opowiedział, jak będąc jedynym katolikiem, a nawet chrześcijaninem w całym oddziale, siedział z chłopakami w betonowym ukryciu gdzieś pod płytami zwalonego budynku i całą noc uczył ich modlitwy różańcowej. My zawsze wysyłamy im różańce. Często noszą je na szyjach, przyczepiają do kamizelek. Żyją jak żyją, bo takie jest życie żołnierskie. Ale jak są w domu na przepustce, to idą do spowiedzi. Są nawet specjalne szkolenia dla kapłanów, żeby rozumieli, jakie zmiany zachodzą w psychice człowieka, który był na linii boju.

Odwiedziny naszych absolwentów, którzy walczą, są szczególnie trudne. Zawsze im dziękujemy, mówimy, że ich podziwiamy. Dziękujemy za to, że możemy mieszkać w swoim domu. Bo gdyby oni tam



■ Fotografie osób zasypanych gruzami własnego domu, których ciał nikt nie wydobył



■ Zniszczona figura Matki Bożej Fatimskiej w Pokrowsku, obwód doniecki



■ Siostry Dominikanki z wolontariuszami podczas modlitwy przed rozpoczęciem wydawania darów z Polski ofiarom wojny na Ukrainie

nie trwali w tej ziemi, w tych norach wykopanych swoimi rękami, to my byśmy też tutaj nie mogły być, musiałybyśmy stąd uciekać. Oni się wzruszają. My też.

Mamy też taką wioskę – Zwaniwka. Leży w kierunku Doniecka. Ta wioska w związku egzekwowaniem umowy o zamianie granic w 1951 roku była cała wysiedlona z wioski Liskowate koło Ustrzyk Dolnych. Razem ze swoim proboszczem Polacy z mieszanych rodzin również pojechali. Zachowali język, dlatego doskonale nas rozumieją. Chociaż oni uważają, że to my mówimy w ich języku, a nie oni w naszym. No i zachowali wiarę i tradycję. Ta cała wioska przyjechała do nas, tutaj, do Żółtkwi. Ci ludzie rzeczywiście mają głęboką wiarę, nie mają żadnych wątpliwości, że całą historię kieruje Pan Bóg. I że tak jak ich ojców wygnali z Liskowatego, tak oni musieli teraz wyjechać z tej swojej Zwaniwki, którą kochali. Piękną wioskę mieli, naprawdę. Piękne domy zbudowane

własnymi rękami od zera przez ich rodziców. Piękna cerkiew z klasztorem Ojców Bazylianów. Teraz już mało co zostało. Po prostu jedna wielka ruina. No i oni na to patrzą, widzą, przeżywają. Ale mają nadzieję, że może ten exodus się skończy, że może trafią w końcu do miejsca, które jest dla nich.

Módlcie się za nas

My wszyscy żyjemy dzięki ludzkiej modlitwie. Jak jest bombardowanie Odessy, to znajome małżeństwo – on jest Gruzinem, a ona Żydówką – zawsze dzwoni do nas z prośbą o modlitwę. Może to brzmi śmiesznie, bo oni nie są chrześcijanami, ale wierzą w siłę modlitwy. Wszyscy bardzo jej potrzebujemy. To pierwsze i najważniejsze – proszę wszystkich, żeby się za nas modlili. Nie tylko o sprawiedliwy pokój, ale także o nasze bezpieczeństwo. Żebyśmy jakoś wrócili do normalności po tym wszystkim. Żeby się te

bombardowania skończyły. Ludzie w miastach, które są bliżej frontu, całe noce spędzają w piwnicach. Nie wiele pragniemy, po prostu takiej normalności. Żeby chociaż się mogli w swoim łóżku wypaść.

„Mieliśmy tak dobrze, a myśleliśmy, że mamy tak źle”. To mówią wszyscy. Niestety tamte czasy już nie wrócą. Każdego dnia modlimy się z dziećmi. Odmawiamy różaniec na początku każdej lekcji. Modlimy się za dobroczyńców, za żołnierzy i za poległych. Was też prosimy o to jedno najważniejsze, o modlitwę. ■

s. Mateusza Trynda



Dominikanka, urodziła się w 1967 roku. Śluby wieczyste złożyła w 1983 roku. W 1994 roku wyjechała na Białoruś do Baranowicz, a rok później przyjechała do Żółtkwi (Ukraina). Katechetka i misjonarka. Pasjonatka historii sztuki i historii Kresów południowo-wschodnich.



INTENCJE MSZALNE

DLA MISJONARZY

PRZYJMujemy INTENCJE mszalne:

- **jednorazowe**
- **wieczyste**
- **nazaretańskie**
(30 Mszy św. za osoby żyjące)
- **gregoriańskie**
(30 Mszy św. za jedną osobę zmarłą)

KONTAKT: ks. Marek Przybyś SCJ
+ 48 797 535 622 (w godz. 9:00-13:00 i 15:00-17:00)
modlitwa@misjesercanow.pl

Misjonarze niosą Ewangelię tam, gdzie często brakuje wszystkiego. Posługują w najodleglejszych zakątkach świata – wśród ludzi ubogich materialnie, ale spragnionych Boga.

Ci, do których idą, nie mają środków, by wspierać ich misję. Dlatego zamawianie intencji mszalnych u misjonarzy to nie tylko duchowy dar – to także konkretna pomoc. Dla wielu z nich to jedyne źródło utrzymania, które pozwala im kontynuować posługę.

Moc PRZEŚLADOWANEGO Kościoła

Często docierają do nas wiadomości o prześladowaniach chrześcijan. Wiek XX okazał się czasem największych prześladowań w całej historii Kościoła. W sekularyzującej się Europie chrześcijanie są coraz bardziej spychani na margines życia. Szczególnie boleśnie jest to odczuwalne w naszej Ojczyźnie, gdzie w dobrym tonie staje się publiczne oświadczenie o opuszczeniu Kościoła i gdzie coraz większą akceptację zyskuje myślenie o „piłowaniu katolików”. Wśród wielu z nas, członków Kościoła, wywołuje to ogromne emocje i oburzenie. Dla wielu jest to nie do zaakceptowania, by atakować Kościół Katolicki, który ma tyle zasług w całej historii narodu Polskiego. Jednak konieczne jest otrzeźwienie w naszej postawie wobec prześladowań. Według zapowiedzi samego Jezusa prześladowania są wyrazem wierności Jego Ewangelii.

Jasiek misjonarz





W tym kontekście warto spojrzeć na Hongkong i Makau – specjalne regiony administracyjne Chin. W Hongkongu pod rządami Brytyjczyków i Makau pod rządami Portugalczyków panowała wolność religijna i każdy mieszkaniec miał pełną swobodę wyboru religii. Po przejęciu miast przez Chiny, mimo pojawiających się ograniczeń, wolność wyznawania i praktykowania religii dalej jest obecna w życiu mieszkańców tych szczególnych chińskich miast. W obu też można dostrzec wiele znaków świadczących o obecności chrześcijaństwa. W samym Hongkongu istnieje ponad 50 katolickich parafii. Duży procent szkolnictwa podstawowego i średniego jest w rękach katolickich i innych chrześcijańskich wspólnot. W Makau prawie 40% szkół podstawowych i średnich prowadzi Kościół Katolicki. Taka sytuacja stwarza dobre warunki do ewangelizacji. Jednak nie obserwuje się wzrostu liczebnego chrześcijan, a dodatkowo kryzys wiary młodego pokolenia jest bardzo widoczny. W Hongkongu i Makau katolicy stanowią około 5% wszystkich mieszkańców.

W obliczu takiej sytuacji można zadać pytanie, dlaczego zdecydowana większość Chińczyków w Hongkongu i Makau nie otwiera się na przyjęcie orędzia Ewangelii. W obecnej rzeczywistości jedną z głównych przyczyn możemy upatrywać w dobrobycie. W ostatnich 40 latach standard życiowy tych dwóch miast bardzo szybko

wzrastał. Dążenie do coraz bardziej zasobnego życia pełnego różnych przyjemności, z dużą możliwością zagranicznych podróży, było i jest ewidentne. Hongkong stał się światowym centrum finansowym, a Makau chińskim Las Vegas przyciągającym do swych kasyn nieprzebrane tłumy Chińczyków z Chin lądowych.

Jeden z kleryków diecezjalnego seminarium w Hongkongu opowiadał mi, że jest jedynym wierzącym w Chrystusa w swojej rodzinie. Jego rodzice i siostra nie są wyznawcami żadnej religii. W latach 80. i 90. w Hongkongu tak łatwo zarabiano się duże pieniądze, że materialny dobrobyt skutecznie przysłonił duchowe pragnienia i poszukiwania wiary jego rodziców i siostry.

Nietrudno więc dostrzec, jak ułuda doczesnego dobrobytu i zabieganie o cielesne przyjemności mogą stać się skuteczną pułapką niepozwalającą na odkrycie duchowej rzeczywistości naszego życia, a ostatecznie jego prawdziwej wartości. Jezus mówi bowiem: „Duch daje życie; ciało na nic się nie zda” (J 6,63).

Sytuacja w Chinach lądowych jest diametralnie różna. W ostatnich latach staje się ona znacznie trudniejsza, ponieważ obecna polityka chińskich komunistów wobec wyznań religijnych, szczególnie wobec chrześcijaństwa, staje się coraz bardziej restrykcyjna. Dodatkową niezwykle trudną kwestią jest polityka sinizacji, czyli nadawania chińskiego charakteru wszystkiemu, co przybywa do Chin z zewnątrz.

Teoretycznie konstytucja gwarantuje wolność religijną. Według komunistycznej wykładni tej wolności każdy w swoim sercu może sobie wyznawać wiarę, jaką chce, jednakże jej zewnętrzne praktykowanie jest całkowicie uzależnione od przepisów ustanowionych przez komunistyczną władzę. Wszystko więc, co wiąże się z zewnętrzną ekspresją wiary, podlega kontroli i weryfikacji. Praktycznie sprowadza się to do zniesienia wolności wyznania. 1 stycznia 2024 roku weszły w życie normy prawne dotyczące grup wyznaniowych w Chinach. Nowe wytyczne nakazują przede wszystkim propagowanie komunistycznej ideologii – jedynej właściwej dla rządzącej partii.

Kierunek obrany przez obecne władze zbliża się do tego, co się działo w czasie chińskiej rewolucji kulturalnej z lat 1966-1976. Wówczas niszczone wszystko, co było uznawane za wroga panującej ideologii komunistycznej. Komuniści byli pewni, że wtedy całkowicie udało się wypłenić chrześcijaństwo z narodu chińskiego. Jakież ogromne było ich zdziwienie, a nawet przerażenie, gdy w czasach odwilży na początku lat 80. okazało się, że liczba katolików w ogóle nie zmalała – wynosiła około pięciu milionów.

Od tamtej pory zaczął się taki rozkwit chrześcijaństwa, że jeden ze specjalistów w zakresie socjologii i historii Chin (prof. Fenggang Yang)



■ Adoracja Najświętszego Sakramentu w katedrze w Taiwan (najbardziej katolickiej diecezji w Chinach)



■ Tradycyjny strój chiński



■ Fragment Wielkiego Muru Chińskiego

przewiduje, iż w latach 30. naszego wieku Chiny będą krajem o największej liczbie chrześcijan na świecie. W ten sposób potwierdza się przesłanie Ewangelii, iż naturalnym środowiskiem rozwoju chrześcijaństwa są prześladowania.

W czasach ucisku ktoś, kto decyduje się na życie według Ewangelii, musi wiedzieć, dlaczego wierzy. Konsekwentnie wiara taka prowadzi do doświadczania owoców życia w przyjaźni z Jezusem Chrystusem, który w Duchu Świętym prowadzi nas do Ojca. Jeden z misjonarzy, posługujący wiele lat w Chinach, podzielił się ze mną niezwykle cennym świadectwem. Pewnego razu kilku członków wspólnoty, w której posługiwał, wyraziło ich osobiste doświadczenie wiary. Mówili oni, że wyedukowani w sterylnych warunkach ideologii komunistycznej nie mają intelektualnych narzędzi, by

zrozumieć wiele prawd głoszonych przez Kościół Katolicki. Jednak jeśli dzisiaj są katolikami, to dlatego, że

Jeden ze specjalistów w zakresie socjologii i historii Chin (prof. Fenggang Yang) przewiduje, iż w latach 30. naszego wieku Chiny będą krajem o największej liczbie chrześcijan na świecie.

spotkali Boga. Zostali tak dotknięci przez Jego miłość, że nikt i nic ich nie przekona, iż Bóg nie istnieje. Dzieje się tak, jak na początku istnienia Kościoła, o czym świadczą Dzieje Apostolskie: „Lecz Piotr i Jan odpowiedzieli: «Rozsądźcie, czy słuszne jest w oczach Bożych bardziej słuchać was niż Boga? Bo my nie możemy nie mówić tego, cośmy widzieli i słyszeli»” (Dz 4,19-20).

Warto przeczytać książkę „Człowiek z nieba” Paula Hattaway’a. To

dramatyczna historia o tym, jak Bóg wybrał młodego i głodnego chłopca z ubogiej wsi w prowincji Henan w Chinach i potężnie użył go w dziele ewangelizacji. Brat Yun jest jednym z przywódców chińskiego ewangelickiego kościoła domowego. W młodości trafił do więzienia z powodu swojej wiary i był poddany długotrwałym torturom. Gdy się czyta tę książkę, dostrzega się analogie do wydarzeń opisanych w Dziejach Apostolskich, szczególnie uwolnienie brata Yuna z więzienia nieodparcie przypomina to Piotrowe (Dz 12,1-19).

Im trudniej, tym lepiej. Jakże to się sprawdza w wymiarze wiary, która jest żywą relacją z żyjącym Bogiem. Czyż nie jest to zaproszeniem, aby patrzeć na ludzkie życie z perspektywy wiary i nadziei szczególnie wówczas, gdy po ludzku wszystko jest beznadziejne, oraz z perspektywy miłości, która ze swej natury jest silniejsza niż lęk – bo ten się lęka, kto nie wydoskonalił się w miłości, powie św. Jan Apostoł (por. 1J 4,18). Kresem i sensem naszego życia nie jest bowiem cierpienie i śmierć, ale moc niezniszczalnego życia. Bo jak uczy prorok Habakuk: kiedy brakuje nadziei, to właśnie wówczas jest właściwsza pora na nadzieję, która jest tylko w Panu Bogu (por. Ha 3,17-19). Niech ta nadzieja będzie naszą mocą na co dzień i skuteczną obroną przed zwątpieniem i lękiem, które pragnie w nasze serca wlać zły duch. ■

*Tener paciencia con
es construir el pue
tú algún día vas a p*

Życie na długim DYSTANSIE

O realiach pracy duszpasterskiej na Kubie, małych i dużych radościach, roli świeckich w ewangelizacji i konieczności głoszenia Słowa Bożego Marta Czajka rozmawia z księdzem Markiem Gubernatem MSF, Misjonarzem Świętej Rodziny.



Marta Czajka: Od 2022 roku jest Ksiądz misjonarzem na Kubie. Daleko, mówiąc kolokwialnie, Ksiądz wywiał! Zawsze marzył Ksiądz o kapłaństwie, o misjach?

Ks. Marek Gubernat MSF: Gdy byłem w podstawówce, mama trochę załamywała ręce, bo moja siostra zawsze wiedziała, że chce być lekarzem, a mnie, oprócz geografii i angielskiego, nic za bardzo w szkole nie interesowało. Ale, jak się okazało, w życiu misjonarskim akurat to bardzo się przydaje. Potem w szkole średniej Pan Bóg ukazywał pewne znaki. Poznałem Misjonarzy Świętej Rodziny. Trochę się z nimi trzymałem. Różne rekolek-

i pojawiło się takie „okienko transferowe”. A ponieważ ja znałem już język hiszpański i od wielu lat chciałem wyjechać na misję, w kwietniu 2022 roku przybyłem na Kubę.

Te pierwsze chwile to było zaskoczenie, rozczarowanie, a może realizacja wyobrażeń?

Mówią mi często znajomi, że jestem pesymistą i patrzę bardzo brutalnie na rzeczywistość. Ale ja wolę obracać wariant gorszy i się rozczarować na plus niż odwrotnie. Więc generalnie spodziewałem się wszystkiego, może nie najgorszego, ale wszystkiego. Nie zapomnę na pewno do końca życia uderzenia tego wilgotnego,

Republika Kuby – największe pod względem powierzchni państwo na Karaibach ■ Stolica – Hawana ■ Populacja – 11 mln
Język urzędowy – hiszpański ■ Ustrój – republika socjalistyczna

cje, spotkania i tak dalej. To nie było jakieś spektakularne objawienie, raczej takie ciche pragnienie, które rosło. A misje? Myślę, że Pan Bóg bazował na tym, że po prostu lubiłem podróżować, i to wykorzystał.

A Kuba?

Dla naszego zgromadzenia ta misja jest jedną z najmłodszych, ma charakter międzynarodowy i podlega pod Dom Generalny. Ale, co jest istotne, tutaj od początku były problemy personalne z racji na sytuację panującą na Kubie. Najpierw byli tu współbracia z Chile, Madagaskaru i Polski. Potem przez długi czas zostali tylko Polak i Małgasz. No

gorącego, kubańskiego powietrza po wyjściu z samolotu. Po prostu jak taka ściana. Potem się przekonałem, że to powietrze jest tutaj takie przez większą część roku. A potem właściwie to było odkrywanie wszystkiego. Przez wspomniane częste zmiany personalne na naszej misji na początku trzeba się było zmierzyć z remontem domu. A tu nie ma marketu, nie pójdziesz tak po prostu kupić uszczelki, żeby ją wymienić. Nie znajdziesz od ręki, dajmy na to, kawy w sklepie. Wszystkiego się tutaj szuka. Więc szybko musiałem sobie dać na wstrzymanie, ale ja za to Panu Bogu dziękuję, bo ta mentalność i ten świat

Prekolumbijskimi mieszkańcami wyspy byli Indianie znani jako Guanahatabey, a także Tainowie, Sibonejowie i Karaibowie. Dla Europy odkrył ją w 1492 roku Krzysztof Kolumb. Nazwa Kuba, jako nazwa wyspy i państwa, prawdopodobnie pochodzi z języka coabana i oznacza „wspaniałe miejsce”.



■ Msza Święta w stacji misyjnej La Luz

to jest totalna kontra do tego, jaki ja jestem. I albo będę walił głową w ścianę i sobie tę głowę rozbiję, albo zaakceptuję tę rzeczywistość i będę próbował ją „rozwalić od środka”, czyli spróbuję trochę wejść w te schematy i robić to, co chcę zrobić, tylko nie na moich zasadach. To jest świetna lekcja pokory. (dźwięk w tle) O! Na przykład teraz właśnie włączyli mi prąd, po nie wiem nawet ilu godzinach jego braku, a zanim zaczęliśmy rozmawiać, właśnie skończyłem pompować wodę przy pomocy agregatu. No ale ja mam agregat i włączyli wodę, więc jej nabrałem. A teraz jest prąd, ale nie ma

wody w wodociągu, no i sąsiedzi już wody nie nabiorą.

Ilu Kubańczyków wyznaje wiarę katolicką?

Kuba była kolonizowana przez Krzysztofa Kolumba i jego towarzyszy pod koniec XV wieku, a razem z nimi dotarła tu wiara chrześcijańska. Wikipedia, która jest totalnie niemiarodajna, ale do czegoś trzeba by się odnieść, mówi o około 60% ochrzczonych. My mówimy realnie dzisiaj o 3% katolików, którzy świadomie żyją wiarą.

A może prawda leży gdzieś pośrodku?

To jest taki kraj, w którym nic nie działa. Nawet takie pytanie – kto i na bazie czego miałby zrobić wiarygodne statystyki? Posłużę się anegdotą, chociaż to naprawdę się wydarzyło. Otóż Kościół Katolicki na Kubie jest jedynym – a jest tu mnóstwo Kościołów i wyznań – który nie jest

wpisany do rządowego związku wyznaniowego. Dlaczego? Najprostsza sprawa – gdy się wpisuje Kościół do takiego rejestru, trzeba podać jego członków. Myślę, że Czytelnik zrozumie, po co. Kiedy Kościół Katolicki po raz kolejny namawiano, żeby się wpisał, padła odpowiedź: „Dobrze, ale w takim razie jeśli mamy podać członków, to na tej liście znajdzie się Fidel Castro i jeszcze kilku innych dygnitarzy. Czy państwo się na to zgadzają? Są przecież ochrzczeni, a w Kościele Katolickim przynależność jest przez chrzest”. W tym momencie dyskusja się skończyła.

Biorąc pod uwagę to wszystko, czy teraz niejako od nowa trzeba ewangelizować tę ziemię?

Jestem w stanie uwierzyć, że przed czasami rewolucji było o wiele lepiej, gdy idzie o kondycję Kościoła i wiary. Na pewno ten czas rewolucji, czy w ogóle komunizmu, szczególnie w pierwszych latach, 70., 80. i 90., „zaowocował” spustoszeniem formacyjnym, bo jednak pewne ograniczenia materialne i bytowe wpływają na formację. Prosta sprawa: jeżeli nie mogę zrobić spotkania katechetów, bo nie mam transportu, no to oni tej formacji nie otrzymują,

Rewolucja kubańska – trwająca w latach 50. XX wieku rewolucja pod przywództwem Fidela Castro przeciwko dyktaturze Fulgencio Batisty na Kubie. Po kilku próbach przejęcia władzy Castro objął stanowisko premiera 16 lutego 1959 roku. Rząd rewolucyjny został uznany przez państwa socjalistyczne, a także Stany Zjednoczone, Francję i Wielką Brytanię. 15 kwietnia 1961 roku Castro proklamował socjalistyczny charakter rewolucji kubańskiej.

a sami nie są w stanie dojechać. Albo jak ludzie muszą, tak jak dzisiaj, czekać cały dzień przy wodociągu na moment, kiedy pojawi się woda, no to ja nie mogę na nich naciskać, żeby przyszli na spotkanie. To wszystko się oczywiście ładnie usprawię, a Kubańcy są mistrzami

głosić cały czas. Zaczynam od najprostszych rzeczy. Staram się robić kursy ewangelizacyjne, które głoszą kerygmat. Idę do domu seniorów, gdzie po prostu mówię o podstawowych rzeczach: że jesteście ukochani przez Pana Boga, że Jezus oddał za was życie, żebyście wy

i ewangelizować, a praktycznie co tydzień ktoś z najlepszych wyjeżdża.

Za granicę?

Tak. Ta galopująca emigracja jest ogromnym wyzwaniem. Ludzie po prostu uciekają, i to uciekają ci, którzy w większości są zaangażowani we wspólnoty.

Fidel Alejandro Castro Ruz – przywódca rewolucji

kubańskiej. Faktyczny przywódca Kuby w latach 1959–2011.

Jak sam uważał, dzięki marksizmowi poznał historię walki klasowej i zrozumiał, że świat został podzielony między biednych i bogatych, którzy chcą podporządkować sobie biednych. Przyjmując marksistowskie idee, uznał, że do znaczącej zmiany może dojść jedynie poprzez rewolucję proletariatu.

w wyszukiwaniu wymówek, natomiast zawsze mówię, że efekt końcowy jest taki sam, czyli coś się nie odbyło, czegoś nie zrealizowaliśmy, coś nie zaistniało.

Czyli przed mówieniem o Chrystusie najpierw troska o potrzeby materialne?

To jest ogromna pokusa. Natomiast ja uważam, że Słowo trzeba

tutaj te ostatnie lata przeżyli w nadziei zmartwychwstania. To trzeba robić cały czas. Natomiast, no rzeczywiście, jeśli chcemy coś osiągnąć jako wspólnoty, musi to przybrać jakiś zorganizowany kształt. Dlatego dla mnie najważniejsza jest formacja następców. Ciągłe szukam sposobów, jak pomnożyć liczbę misjonarzy świeckich (*misioneros laicos*), czyli ludzi, którzy chcą tu zostać

Wróćmy jeszcze do wspomnianych misjonarzy świeckich. Jakie są ich zadania?

Oni po prostu idą tam, gdzie ja nie jestem w stanie, albo – co ostatnio odkrywam – gdzie nie jestem niezbędny. Na przykład mam taką wspólnotę na naprawdę głębokiej wiosce, taki przysłowiowy koniec świata. Na początku tam jeździłem. Zaczynaliśmy dosłownie od nauki znaku krzyża. To jest tak podstawowy poziom. Po czasie, z różnych powodów, głównie czasowo-transportowych, nie byłem w stanie tam jeździć. Ale przygotowałem do tego kobietę, która udaje się tam jako świecka misjonarka. No i efekty są fenomenalne! Przede wszystkim to jest Kubanka. Osoba, która czuje ich rytm życia, również ten specyficzny rytm ludzi ze wsi. Ona jednocześnie wnosi tam trochę dyscypliny, porządku, systematyczności. Odkryłem, że ja na tym etapie jeszcze nie jestem tam niezbędny. Ale przyjdzie taki moment, że jako kapłan zacznę jeździć do nich z sakramentami. Ci świeccy mogą zrobić wspaniałą rzecz, i to oni, tak naprawdę, mogą tutejsze wspólnoty osadzić i uratować. I to nie jest nic odkrywczego. Już dawniej tak było. I też



■ Kurs ewangelizacyjny dla mieszkańców Camajuani



■ Ks. Marek z wolontariuszami Caritasu

niczym odkrywczym nie będzie, jak powiem, że księży będzie coraz mniej.

Na ilu takich świeckich misjonarzy może Ksiądz w tej chwili liczyć?

Myślę, że będzie to dziesiątka ludzi, takich, których odpowiedzialność jest kluczowa. Ale muszę też dodać, że ci *misioneros laicos*, oni rzeczywiście są misjonarzami. Naprawdę głoszą od zera, na tyle na ile potrafią, bo też nie mają jakiegoś super

przygotowania. Muszą się przygotować, żeby te spotkania poprowadzić. To jest proces, w którym oni sami też się formują i dojrzewają. Tak naprawdę, powiem trywialnie – to, co oni ostatecznie zrobią na tym spotkaniu, ja się tym w ogóle nie martwię i zostawiam to Duchowi Świętemu. On to prowadzi.

Powiedzmy w ogóle, gdzie Ksiądz jest, żebyśmy mogli znaleźć parafię Księdza na mapie.

Jestem w parafii pw. św. Józefa w diecezji Santa Clara. Nazwa diecezji pochodzi od miasta Santa Clara – jednego z największych na Kuby, które zapisało się na kartach historii w kontekście rewolucji, bo to tutaj teoretycznie się ona rozpoczęła, po wykolejeniu pociągu Batisty. Tutaj też złożone są szczątki Che Guevary. Natomiast nie jestem w samym Santa Clara, tylko w oddalonym o 26 kilometrów miasteczku Camajuani. Tu jest nasz kościół parafialny, mam jeszcze kilka kościołów dojazdowych w wioskach, w kolejnych trzech wspólnotach spotykamy się w domach. Ksiądz

Adam Pestka MSF, też Polak, jest we Vueltas, to jest 11 kilometrów stąd, i trzeci z Misjonarzy Świętej Rodziny, ksiądz Jacquis z Madagaskaru, jest w oddalonym o 38 kilometrów Zulueta.

A ilu parafin liczy Ksiądz misja?

To jest zawsze najtrudniejsze pytanie. Powiem tak, jakbym pozbierał wszystkich praktykujących, to może z 200 bym się doliczył.

Kubańczycy kojarzą mi się z przywiązaniem do rodziny, czy się nie mylę?

Rodzina generalnie jest, bym powiedział, mocno solidarna. Rodzina w sensie: rodzice, dzieci, dziadkowie, kuzyni, wujostwo. Tutaj rodzinie się pomaga i to jest bezapelacyjne. Natomiast ze świecą szukać, żeby ktoś był z pierwszym mężem czy z pierwszą żoną. Rodzeństwo też często ma różnych rodziców. W ogóle najczęstszy model to „2 plus 1”, ewentualnie „2 plus 2”, „2 plus 3” to rzadkość, a „2 plus 4” i więcej to już w ogóle nie do spotkania. Jesteśmy w kraju komunistycznym, gdzie jest bieda, a aborcja jest zabiegiem prostszym niż wyrwanie zęba. Więcej chyba niestety nie trzeba mówić.

Mam wrażenie, że nasza rozmowa przybrała trochę pesymistyczny obrót... Czy pamięta Ksiądz ostatnią sytuację takiej satysfakcji duszpasterskiej, czy po prostu ludzkiej?

Na pewno są to wspomnienia misjonarzy świeccy, o których



■ Adoracja Najświętszego Sakramentu w kościele parafialnym w Camajuani

Che Guevara, właśc. Ernesto Guevara – jeden z przywódców rewolucji kubańskiej. Po jej sukcesie wstąpił w skład rewolucyjnego rządu. W 1965 roku brał udział w walkach partyzanckich w Kongu. Od 1966 roku organizował oddziały partyzanckie w Boliwii. Tam został schwytany i zabity. Jego marksistowsko-leninowskie poglądy określa się mianem guevaryzmu.

rozmawialiśmy. Kiedy widzę, jak rozwijają skrzydła, to jest to dla mnie źródło satysfakcji i radości. Po ostatnich Świątach Wielkanocnych też czułem satysfakcję. Trzy lata temu świętowaliśmy tu w kompletnym rozgardiaszu organizacyjnym, a teraz ma to już ręce i nogi. Bo temat organizacyjny na Kubie jest bardzo trudny. Tu jest permanentna spontaniczność i bałagan, które często do niczego nie prowadzą. Ale ta organizacja to jest zawsze okazją do formacji. Ostatnio miałem taką sytuację, byłem zaproszony do jednej rodziny, bo zabijali świnie. No

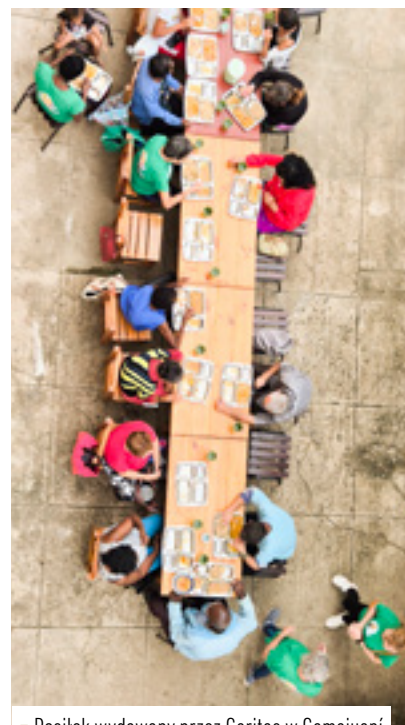


■ Ks. Marek z ministrantami

i na odjezdne dali mi jeszcze trochę mięsa. Po powrocie generalnie rozdałem to mięso sąsiadkom. No i wczoraj przychodzi właśnie jedna z tych kobiet, ona jest zawsze w kościele, i mówi: „Proszę księdza, jak mi syn przygotował to mięsko, jakie to było pyszne! Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem mięso”. No więc ucieszyłem się, że sprawiłem komuś taką radość 120 gramami mięsa wieprzowego.

Dużo mówiliśmy o Kubie. A co pobudza Księdza do działania, co rozpala w Księdzu wiarę, by trwać na misjach?

Skąd się wzięła wiara w Polsce? No bo kiedyś był ktoś, kto żył tym nakazem Jezusowym, żeby iść i głosić. I wreszcie kiedyś ten ktoś dotarł do Polski, zaczął głosić, no i mamy to, co mamy. Komuś na tym zależało, żeby Słowo biegło, żeby Słowo było rozesłane, a wiara rodzi się ze słuchania. Dlatego myślę, że taka troska o to, żeby inni słyszeli o Jezusie, jest tym, co ożywia moją wiarę osobistą. Jeśli mi przestanie zależeć na tym, żeby inni też mogli przeżyć przy Jezusie to, co ja przy Nim przeżyłem, to chyba to będzie znaczyć, że moja wiara umiera. A misje są sprawą wiary. W ogóle jak kiedyś



■ Posiłek wydawany przez Caritas w Camajuani

czytałem encyklikę „Redemptoris missio” Jana Pawła II, to mnie to po prostu przeorało. W takim pozytywnym znaczeniu, że przygotowało glebę do tego, czym żyję dziś. Misje są sprawą wiary, nie da się tego inaczej powiedzieć. I oczywiście możemy zrobić misje społeczne, humanitarne, zresztą to w Kościele znamy, szczególnie w Ameryce Łacińskiej, no ale do czego to ma prowadzić? Co chcemy osiągnąć? Ja też mam takie doświadczenie, swoje hobbystyczne, bo zawsze lubiłem kolarstwo górskie w wydaniu długodystansowym, i to jest zawsze kilka godzin w siodełku, wiele razy przeżywaś załamanie, chcesz się zatrzymać, myślisz, że już nie masz siły, a jednak masz. No i to jest chyba to, że generalnie na życie trzeba patrzeć na długim dystansie.

Dziękuję za rozmowę.

POLSCY Sercanie na świecie

Sercańscy misjonarze z Polski posługują aktualnie w 22 krajach świata. Ich obecność jest odpowiedzią na charyzmat zgromadzenia, by iść „wszędzie tam, gdzie miłość Serca Jezusowego nie jest znana lub kochana”.

USA

Chile

Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego (Sercanów) jest dziś średniej wielkości rodziną zakonną o globalnym zasięgu. Liczy ono około 2200 członków na całym świecie, zorganizowanych w 19 prowincjach na wszystkich kontynentach. Około 1560 to kapłani, zaś pozostali to bracia zakonnicy (około 40 osób) oraz blisko 600 kleryków przygotowujących się do kapłaństwa. Polska Prowincja SCJ należy do liczniejszych – skupia około 200 zakonników i wysyła misjonarzy do wielu krajów.

Od dnia założenia w 1878 roku do chwili obecnej do wieczności odeszło ponad 3500 Sercanów na całym świecie, z czego 47 poniosło śmierć męczeńską na różnych frontach posługi misyjnej i duszpasterskiej w: DR Konga (26), Indonezji (11), Kamerunie (3), Brazylii (1) i Europie (6).

* Na mapie zaznaczono państwa, w których posługują obecnie polscy Sercanie.



Irlandia

Belgia

Holandia

Niemcy

Finlandia

Białoruś

Ukraina

Słowacja

Mołdawia

Albania

Austria

Chorwacja

Włochy

Szwajcaria

Francja

DR Konga

RPA

Hongkong

Filipiny

Indonezja

Założyciel

Ojciec Święty Franciszek pod hasłem „Pielgrzymi Nadziei” ogłosił rok 2025 Rokiem Jubileuszowym, a więc czasem łaski i nadziei dla całego Kościoła powszechnego. Łącząc się z Kościołem w przeżywaniu Jubileuszu Nadziei, my, Sercanie, podejmujemy także naszą pielgrzymkę dziękczynną Bogu z okazji setnej rocznicy śmierci naszego Założyciela, Czcigodnego Sługi Bożego Ojca Leona Jana Dehona. 12 sierpnia 2025 roku mija dokładnie 100 lat od jego śmierci, a 28 czerwca 2028 roku świętować będziemy 150 lat od założenia Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego.





■ Młody Leon podczas podróży na Wschód



■ Leon Dehon (drugi od lewej) z trzema kolegami z seminarium francuskiego, stenografami na Soborze Watykańskim I

Sylwetka Założyciela

Leon Dehon urodził się 14 marca 1843 roku w La Capelle, małym miasteczku na północy Francji, zaledwie 16 kilometrów od granicy z Belgią, i był najmłodszym z trzech braci. Jego rodzice, Aleksander i Stefania, należeli do miejscowych zamożnych ziemian. Matka Leona była kobietą tradycyjną, kochającą zajęcia domowe, zatroskaną o męża i dzieci, rozmówianą w nabożeństwie do Serca Jezusowego. Ojciec natomiast

był człowiekiem dobrym i uczciwym, ale obojętnym religijnie. Marzył o dobrym wykształceniu syna, jego awansie społecznym, o karierze naukowej lub sukcesach w administracji państwowej. Dlatego tym większe było jego zaskoczenie, kiedy Leon zdecydował się na ujawnienie tajemnicy swojego powołania i chęci wstąpienia do seminarium. Ojciec jednak nie wyraził na to zgody.

Zamiast tego zachęcił Leona, by ten udał się wraz ze swoim przyjaciелеm, miłośnikiem archeologii, do Ziemi Świętej. Miał nadzieję, że atrakcyjna podróż wpłynie na zmianę zamiarów syna. Cała podróż trwała dziesięć miesięcy, a jej szlak wiódł przez Szwajcarię, Włochy, Grecję, Turcję, Egipt aż do Ziemi Świętej. W Jerozolimie Leon przeżył błogosławione dni Wielkiego Tygodnia. Podróż tę zakończył w Rzymie. Wbrew nadziejom ojca odwiedzenie Jerozolimy i świętych miejsc umocniło Leona w przekonaniu o słuszności ostatecznego

wyboru, którego wcześniej dokonał. Teraz przeżywał z całą świadomością sens swojej decyzji i utwierdził się w niej z całą mocą.

Za namową ojca Leon rozpoczął studia prawnicze w Paryżu, które ukończył w 1864 roku, uzyskując doktorat. Powrócił do domu rodzinnego zdecydowany, by ujawnić wielkie pragnienie zrealizowania swego kapłańskiego powołania, mimo dalszego sprzeciwu ze strony ojca.

Największą pomoc w rozwiązaniu sytuacji stanowiła audyencja u Ojca Świętego, Piusa IX. Leon mówił o swym powołaniu papieżowi, a ten poradził mu, by wstąpił do Seminarium Francuskiego w Rzymie. Już na początku tej drogi Leon postawił sobie wyraźny program działania: „Moim ideałem i treścią mojego życia ma pozostać na zawsze nabożeństwo do Boskiego Serca, zgodność z Jego wolą i trwanie w miłości”.

Leon otrzymał święcenia kapłańskie w majestatycznej bazylice św. Jana na Lateranie 19 grudnia



■ La Capelle, ulica z domem Ojca Dehona



■ Zdjęcie z Dnia Socjalnego w Val-des-Bois w Kanadzie (1900). Ojciec Dehon siedzi drugi z lewej

1868 roku. Rodzice byli świadkami tego wydarzenia. Świeconych było 200 kleryków zakonnych i diecezjalnych wszystkich narodowości. Naza jutrz nowo wyświęcony kapłan odprawił pierwszą Mszę Świętą w kaplicy seminarialnej w otoczeniu najbliższych. Przełożeni seminarium francuskiego w Rzymie w swych dokumentach pozostawili następującą notatkę dotyczącą młodego seminarzysty: „Leon Dehon, z diecezji Soissons. – Wstąpił 25 października 1865 roku. – Opuścił seminarium 1 sierpnia 1871. – Charakter: wyśmienity. Zdolności: ogromne. – Pobożność i regularność: doskonale... Był jednym z naszych najlepszych alumnów pod każdym względem. Pobożność, skromność, powaga, regularność, synowska miłość dla swoich nauczycieli, energiczne przykładanie się itd. Wszystko sprawiało, że był nam drogi. Obiecuję wiele na przyszłość”.

Działalność społeczna

Dwudziestoosmioletni ksiądz Leon Dehon w momencie powrotu

do swojej diecezji we Francji posiadał cztery doktoraty: z prawa świeckiego, filozofii, teologii i prawa kanonicznego. 3 października 1871 roku oddał się do dyspozycji swego biskupa we Francji, który mianował go wikariuszem parafii w Saint-Quentin. Parafia ta funkcjonowała w środowisku całkowicie zeświecczonym, zaniedbanym pod względem religijnym. Ludzie w niej mieszkający pracowali w pobliskich fabrykach, lecz byli niesprawiedliwie traktowani przez swoich pracodawców, którzy wykorzystywali ich brak perspektyw na jakąkolwiek poprawę bytu. Większość wiernych żyła z dala od Kościoła, na wzór pogan.

Ksiądz Leon zajął się przede wszystkim młodzieżą, pragnąc dać jej wychowanie w pełni chrześcijańskie. Otworzył dla niej Dom Opieki św. Józefa, którym przez pewien czas kierował osobiście.

W kazaniach młodego kapłana dużo miejsca zajmowały sprawy społeczne. Przypominał, jakie są prawa i obowiązki robotników i właścicieli, ale też piętnował nadużycia

pracodawców. Pomagało mu w tym jego prawnicze wykształcenie. Brał udział w krajowych kongresach na tematy społeczne i interesował się wszelką działalnością tego typu.

Nurtowała go jednak potrzeba głębszego zjednoczenia z Bogiem. Rodził się w nim i przybierał konkretne kształty projekt nowego zgromadzenia zakonnego dla kapłanów. Jego centralną ideą miało być podjęcie działania zmierzającego ku zadośćuczynieniu Sercu Jezusa za grzechy popełnione przez ludzkość.

Chciał być zakonnikiem, ale nie mógł porzucić swoich obowiązków kapłańskich w Saint-Quentin. Udało się jednak znaleźć rozwiązanie polowiczne. Jego biskup zaproponował mu założenie Kolegium św. Jana w Saint-Quentin, które byłoby kolebką i miejscem rozwoju przyszłego Zgromadzenia Księża Najświętszego Serca Jezusowego. To tutaj 28 czerwca 1878 roku ksiądz Leon Dehon złożył swoje pierwsze śluby zakonne. Jest to zarazem oficjalna data założenia Zgromadzenia Księża Sercanów, którzy w wielu krajach są nazywani Dehonianami (od nazwiska Założyciela).

Szybko i prężnie rozwijające się zgromadzenie miało liczne osiągnięcia na wielu polach. Wstępowali do niego zarówno księża diecezjalni, jak i nowi kandydaci do kapłaństwa. Jego początki dawały dobre nadzieje na przyszłość. Już 25 lutego 1888 roku Stolica Apostolska wydała dla zgromadzenia dekret pochwalny (*decretum laudis*).

Ówczesny papież Leon XIII często poruszał problemy społeczne,



■ Saint-Quentin, Casa Sacro Cuore – dom macierzysty Zgromadzenia, pierwszy nowicjat



■ Ojciec Dehon z księżmi Lebrunem i Roblotem wyjeżdżającymi do Konga, wrzesień 1913

wypowiadając się nawet na najdrobniejsze tematy. Najślawniejszym jednak ze wszystkich dokumentów papieskich była encyklika „Rerum Novarum” ogłoszona 15 maja 1891 roku. Wpływ encykliki na chrześcijański ruch społeczny był ogromny. Ojciec Dehon stał się niestrudżonym propagatorem społecznej nauki Kościoła, sformułowanej przez tego wielkiego papieża w tejże encyklice.

Postuga misyjna

Od samego początku misje „w odległych krajach” jawiły się

Ojcu Dehonowi jako olbrzymie pole, na którym zgromadzenie powinno urzeczywistnić otrzymany od Boga charyzmat. Sytuacja polityczna Francji, związana z antykatolickimi wystąpieniami władzy świeckiej, stwarzała coraz większe zagrożenie dla Kościoła i duchowieństwa. W wyniku tych posunięć zakonnicy musieli opuszczać szkoły i wyjeżdżać za granicę. Ojciec Dehon, będąc prawnikiem, bronił się wszelkimi dostępnymi środkami, ale i on został zmuszony do sprzedaży trzech domów i wyjazdu do Brukseli. W tym samym czasie powstały

nowe placówki zgromadzenia: w Belgii, we Włoszech, w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. Tam szukali schronienia zakonnicy wyrzuceni z Francji. Ta sytuacja stała się furtką do realizacji misyjnych planów.

Ojciec Dehon sam od młodości miał szczere i prawdziwe powołanie misyjne. Pragnął być misjonarzem, prorokiem roznoszącym ogień miłości i pokoju po całym świecie. Nie mogąc osobiście wyjeżdżać, wysyłał innych. Już w 1887 roku pierwsi dwaj misjonarze wyjechali do Ekwadoru. W 1893 roku Założyciel posłał pierwszą grupę współbraci do Brazylii, a w roku 1897 przeżywał ogromną radość, gdy mógł pożegnać dwóch pierwszych misjonarzy zmierzających do Konga w Afryce.

W dzień Zwiastowania NMP, 25 marca 1897 roku, zgromadzenie otrzymało propozycję objęcia misji w Kongu Belgijskim (dzisiaj Demokratyczna Republika Konga), w rejonie Stanley-Falls (dzisiaj Kisangani). Ojciec Dehon wykazał wielką odwagę w podjęciu decyzji o wysłaniu tam pierwszych misjonarzy. Większość współbraci wyrażała obawy: „Nie ma ani ludzi, ani środków”, ale on był pewny, że to była wola Boga.

W 1903 roku zabrakło pieniędzy, by wysłać do Konga pomoc i personel. Współbrat odpowiedzialny za działalność misyjną napisał do Ojca Dehona w tej sprawie i otrzymał prostą odpowiedź: „Licząc na Opatrzność i ciągnijcie naprzód”. Zdanie się całkowicie na Opatrzność Bożą było wypełnianiem na co dzień



■ Saint-Quentin, w ogrodzie Domu Najświętszego Serca, 1915

zawołania charakterystycznego dla zgromadzenia: „Ecce Venio” („Oto idę, aby spełnić wolę Twoją, Boże” – Hbr 10,7). Ojciec Założyciel miał głębokie przeświadczenie, że misyjność jest dokładnie tym, czego Bóg od nas oczekuje.

Wysyłał swych pierwszych zakonników na najtrudniejsze odcinki życia Kościoła, tam gdzie inni iść nie chcieli, tam gdzie potrzeby były naglące, a wysiłek i wyzwania największe. Wkrótce przyszła kolej na osiedlenie się zgromadzenia w Finlandii w 1907 roku, w Kamerunie w 1911 roku, a w Republice Południowej Afryki i w Indonezji w 1923 roku.

Wielu z tych, którzy podjęli posługę misyjną w ekstremalnie trudnych warunkach, zmarło na posterunku swojej pracy misyjnej. W Kongu na tamtejszym cmentarzu w misji Saint-Gabriel i w kilku innych miejscach spoczywają zwłoki wielu z nich, m.in. męczenników – 29 misjonarzy Sercanów, którzy w dniach 25–27 listopada 1964 roku oddali życie za wiarę podczas rebelii Simba.

Ziarno rzucone przez Ojca Dehona na różnych kontynentach

i w rozmaitych kontekstach kulturowych przyniosło plony. Pomimo wielu przeciwności i wyzwań zaufanie w Bożą Opatrzność i przekonanie, że właśnie tego Bóg od nas chce, sprawiło, że zgromadzenie nie tylko przetrwało, ale też znacznie się rozrosło. Te niegdyś misyjne tereny i prowincje stają się dzisiaj kolumnami, na których stoi zgromadzenie.

Testament duchowy Założyciela

Duchowość Ojca Dehona miała podwójny wymiar: mistyczny i społeczny. Mistyczny wyrażał się głębokim nabożeństwem do Serca Jezusowego, z podkreśleniem potrzeby wynagrodzenia za grzechy ludzi świeckich i duchownych. Drugi wymiar – społeczny – to praca nad budowaniem królestwa Bożego Serca wśród robotników, poszkodowanych, cierpiących i potrzebujących duchowego wsparcia. Dlatego za swoje szczególne zadanie my, Sercanie, uważamy rozszerzanie i pogłębianie wśród wiernych kultu Bożego Serca. Dzieje się to na płaszczyźnie duchowej, ale też poprzez liczne dzieła apostołskie i misyjne. W swoim

testamencie duchowym Założyciel umieścił takie słowa: „Pozostawiam Wam skarb najcenniejszy – Najświętsze Serce Jezusa. Należy Ono do wszystkich, lecz szczególną miłością darzy księży Jemu poświęconych, całkowicie oddanych Jego czci, miłości i wynagrodzeniu, którego żądał, jeżeli wierni pozostaną temu pięknemu powołaniu. Pan Jezus kochał wszystkich swoich Apostołów, lecz czyż szczególnym uczuciem nie darzył św. Jana, któremu powierzył własną Matkę i swoje Boskie Serce?”.

Wynikającym z duchowości Założyciela ideałem było pragnienie, by Sercanie stawali się sługami pojednania, by nasza posługa przynosiła pokój i zbudowanie. Niech ten Rok Jubileuszowy będzie kolejną okazją do okazania Bogu wdzięczności za charyzmat Ojca Dehona. Za dzieło, które nam pozostawił, i za działalność misyjną, w której ciągle mamy swój udział, tak jak tego chciał nasz Założyciel.

ks. Zbigniew Chwaja



Sercanin, święcenia kapłańskie przyjął 22 maja 1993 roku. Od 2016 roku pełni funkcję Sekretarza Misji Zagranicznych Księży Sercanów w Polsce. Jego przestrzenią działania jest opieka nad misjonarzami, kontakt z ich rodzinami i wolontariat misyjny. W latach 1995–2014 pracował jako misjonarz w Republice Południowej Afryki.



misyjne ABC

PROSTY PRZEWODNIK PO MISJACH KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

Czym są misje?

Misje to szczególne zadanie Kościoła, polegające na głoszeniu Ewangelii – przekazywaniu orędzia Jezusa Chrystusa – oraz na tworzeniu struktur kościelnych w miejscach, gdzie dotąd ich nie było (parafii, diecezji). Chodzi nie tylko o ogólne mówienie o Chrystusie, ale o przedstawianie konkretnych treści Ewangelii, takich jak: miłość, sprawiedliwość i nadzieja, które mają przemieniać ludzi i ich życie. Misje to obecność Kościoła tam, gdzie Chrystus jeszcze nie jest znany, a gdzie serca ludzkie są gotowe Go przyjąć.



Dlaczego Kościół prowadzi działalność misyjną?

Kościół nie może nie być misyjny, ponieważ sam Chrystus pozostawił swoim uczniom jasny nakaz: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody” (Mt 28,19). To wezwanie nie było skierowane jedynie do pierwszych apostołów, ale do całej wspólnoty wierzących na przestrzeni wszystkich czasów. Misyjność Kościoła wypływa więc z posłuszeństwa Jezusowi, ale również z samej jego tożsamości. Kościół Katolicki, będąc powszechny, jest otwarty na każdego człowieka, bez względu na jego język, kulturę czy miejsce zamieszkania. Głoszenie Ewangelii to dzielenie się dobrem, które sami otrzymaliśmy. Ewangelia jest Dobrą Nowiną – nie można jej zatrzymać dla siebie. Działalność misyjna Kościoła ma na celu nie tylko przekaz duchowy – niesie ona także konkretne wsparcie: promuje godność człowieka, pomaga materialnie i wspiera rozwój społeczny w miejscach, gdzie jest najbardziej potrzebna.



Skąd Kościół czerpie swoją misyjną tożsamość?

Misyjna natura Kościoła wypływa z samego Boga. Cała Trójca Święta zaangażowana jest w misję zbawienia: Bóg Ojciec posyła Syna. Jezus Chrystus przychodzi na świat, by głosić Ewangelię, a po Jego odejściu Ojciec i Syn posyłają Ducha Świętego, który prowadzi Kościół. To z tego Boskiego postania zrodziła się misja Kościoła – głoszenia Dobrej Nowiny aż po krańce ziemi.



Kto jest odpowiedzialny za misje?

Misje są zadaniem całego Kościoła, a więc wszystkich jego członków. Na pierwszym miejscu stoi papież, który jako następca św. Piotra przewodniczy dziełu misyjnemu Kościoła na całym świecie. Biskupi i kapłani wspierają misje na poziomie lokalnym, w swoich diecezjach i parafiach. Pomagają w tym instytuty misyjne oraz osoby życia konsekrowanego – zakonnicy i zakonnice. Misjonarze – ci, którzy wyjeżdżają do krajów misyjnych – często głoszą Ewangelię w bardzo trudnych warunkach. Ale odpowiedzialność za misje nie kończy się na duchowieństwie. Każdy ochrzczony – świecki, młody, starszy, żyjący w rodzinie czy w stanie wolnym – ma powołanie misyjne. To właśnie słowo „wszyscy” najlepiej oddaje sens misyjnego zaangażowania. „Wszyscy” jak jedna rodzina.

Kim jest misjonarz?

Misjonarz to osoba posłana przez Kościół – biskupa lub przełożonego zakonnego – do głoszenia Ewangelii i służby na terytoriach misyjnych. Może być nim kapłan diecezjalny (tzw. fideidonista), zakonnik, siostra zakonna, brat zakonny, świecki mężczyzna lub kobieta, a także małżeństwa i rodziny. Misjonarz poświęca część lub nawet całe swoje życie, by w imieniu Kościoła nieść Dobrą Nowinę.

Czym jest wolontariat misyjny?

W dobie malejącej liczby powołań misjonarskich coraz większe znaczenie zyskuje wolontariat misyjny. Jest to forma zaangażowania dostępna dla różnych grup społecznych: młodzieży, studentów, rodzin, a nawet osób starszych. Wolontariusze pracują w szkołach, szpitalach, domach dziecka, hospicjach, budują i wspierają lokalne wspólnoty. W Polsce działa już ponad 20 inicjatyw wolontariatu misyjnego – to rosnąca siła świeckiego zaangażowania w misje. Wolontariat trwa od miesiąca do kilku miesięcy. Często związany jest z jakimś konkretnym projektem.

Czy każdy jest misjonarzem?

Choć często powtarzamy, że „wszyscy jesteśmy misjonarzami”, to jednak trzeba podkreślić, że nie każdy wyjeżdża na misje, ale każdy ma powołanie misyjne. Wszyscy możemy wspierać misje modlitwą, ofarą, wiedzą, pomocą materialną. Ten, który decyduje się oddać swoje życie misjom, realizuje powołanie w sposób najbardziej ofiarny. Papież Franciszek w adhortacji „Ewangelii gaudium” („Radość Ewangelii”) wprowadził pojęcie „ucznia-misjonarza”. To piękna definicja każdego wierzącego: jesteśmy powołani nie tylko do wiary, lecz także do aktywnego udziału w dziele ewangelizacji. Misje to nie dodatek do życia chrześcijańskiego – to jego istota.





Jak możemy włączyć się w misję?

W historii Kościoła są dokumenty, które nie tylko wyznaczają kierunek, ale też otwierają drzwi. Taką właśnie bramą ku nowemu zaangażowaniu misyjnemu była encyklika „Fidei donum” („Dar wiary”), ogłoszona przez papieża Piusa XII 21 kwietnia 1957 roku. Dokument ten miał charakter proroczy – ukazywał potrzebę nowego impulsu misyjnego i zachęcał do solidarności z młodymi Kościołami, szczególnie w Afryce.

Po raz pierwszy z taką mocą papież wezwał kapłanów diecezjalnych, by wyjeżdżali na misje, nie tylko jako członkowie zakonów czy zgromadzeń misyjnych, ale jako fidei doniści – proboszczowie diecezjalni, którzy na pewien czas, za zgodą własnego biskupa, posługują w Kościołach misyjnych. „Fidei donum” otworzyła również przestrzeń dla świeckich – ukazując ich udział w misji Kościoła jako autentyczne powołanie. W punkcie 10. tej encykliki papież wskazuje wyraźnie na modlitwę jako najważniejszą formę wspierania misji. Szczególnie podkreśla znaczenie Najświętszej Eucharystii jako duchowego centrum działalności misyjnej. Dlatego najważniejszym, a zarazem dostępnym dla wszystkich wsparciem będzie zamówienie Mszy Świętej w intencji misji czy konkretnych dzieł misyjnych lub misjonarzy. Albo też podczas Mszy Świętej w modlitwie dnia (kolekcie) po słowie kapłana: „Módlmy się...” każdy może wzbudzić intencję własną, ofiarując ją za misje. Znamy także wiele form modlitw, które możemy ofiarować za misje: czas adoracji, różaniec, koronkę do Bożego Miłosierdzia czy litanie.

Kolejnym ważnym wymiarem misyjności Kościoła jest świadectwo własnego życia. Podczas jednej z moich wypraw badawczych po Papui-Nowej Gwinei usłyszałem od katechisty piękne zdanie: „Każdy ochrzczony ma na czole wypisaną rejestrację jak samochód – jedyną i niepowtarzalną. I powinien ją dumnie nosić”. To porównanie oddaje prawdę, że każdy ma swoje miejsce w misji Kościoła i każdy jest wezwany do zaangażowania.

Jezus powiedział: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody”. W nowym polskim przekładzie Pisma Świętego z języków oryginalnych, wydanym przez Edycję Świętego Pawła w 2005 roku, znajdziemy jeszcze głębsze tłumaczenie: „Idźcie i pozyskujcie ze wszystkich narodów”. Nie chodzi tylko o informowanie, ale o przyciąganie – tak żyć i głosić, aby ludzie chcieli przyjąć Chrystusa i stać się Jego uczniami. To wezwanie dla każdego wierzącego – by jego życie było Ewangelią, którą można przeczytać.

Nie można zapominać także o pomocy materialnej: wsparciu finansowym misjonarzy, uczestnictwie w akcjach charytatywnych

(np. w Adopcji na Odległość) czy budowie szkół, kościołów i szpitali. Pomocy w zakupie środków transportu dla misjonarzy: samochodu, motoroweru, roweru, łodzi, barki rzecznej, a nawet zwierząt pociągowych (konia, muła, ośła).

Ogromną rolę odgrywa również poszerzanie wiedzy o misjach: czytanie prasy misyjnej, książek, listów od misjonarzy. W Polsce mamy ponad 30 tytułów prasy misyjnej – to prawdziwe bogactwo!

Nie do przecenienia jest też promowanie powołań misyjnych – w rodzinach, wśród dzieci i młodzieży. Mój ojciec mawiał do nas, a miał sześciu synów: „Cieszyłbym się, gdyby któryś z was poszedł do seminarium”. Takie słowa mogą mieć wielką moc i istotny wpływ na podjęcie decyzji o wstąpieniu do seminarium, zakonu czy o wyjeździe na misje.

Najbardziej ofiarnym sposobem realizacji powołania misyjnego jest zostanie misjonarzem lub wolontariuszem misyjnym. Przez podjęcie decyzji o wyjeździe na misje jako kapłan, zakonnik, osoba świecka, a nawet cała rodzina

można stać się „darem wiary” dla innych. Powracając natomiast do rodzinnych domów, parafii czy diecezji i dzieląc się bogactwem Kościoła powszechnego, Kościoła misyjnego, można być darem dla swoich bliskich.

Ofiarujmy siebie i swoje intencje za tych, którzy głoszą Ewangelię. Gdyż błogosławione, „piękne” są stopy tych, którzy są zwiastunami Dobrej Nowiny (Iz 52,7; Rz 10,15). Misyjne ABC to nie tylko teoria, ale też wezwanie do działania! ■

ks. Franciszek Jabłoński



Dr hab. misjologii, wykładowca misjologii, konsultor Komisji Episkopatu Polski ds. Misji, członek Krajowej Rady Misyjnej i Papieskich Dzieł Misyjnych, dyrektor diecezjalny Papieskich Dzieł Misyjnych Archidiecezji Gnieźnieńskiej. Proboszcz parafii św. Wawrzyńca oraz parafii Matki Zbawiciela w Gnieźnie. Autor wielu publikacji w tematyce misyjnej.



Naszą misją **kochać**
z otwartym sercem i umysłem,
wołając:
„przyjdź królestwo Twoje!”.

Zapraszamy Cię do kontaktu z nami
oraz do wspólnego rozeznawania powołania!



Jądro w ciemności, która nie mija

Jest to kraj piękny, a zarazem straszny. Bogaty i biedny. Ogromny, a tak niewiele znaczący. Jego złoża potrzebne są nam do codziennego funkcjonowania, a jednocześnie jest przez większość z nas zupełnie zapomniany. Państwo z ogromnym potencjałem, lecz bezsilne. Wojny, wyzysk i brutalność nie wypuszczają tego kraju ze swoich szponów od dziesiątek, czy nawet setek lat. Afrykańskie „jądro ciemności” – dziś znane nam jako Demokratyczna Republika Konga – na którego drodze stanęło zbyt wielu złoczyńców i które wciąż czeka na bohaterów.



Piękno i bogactwo

Demokratyczna Republika Konga (dalej jako DR Konga), rozciągająca się w samym sercu kontynentu afrykańskiego, to jedno z największych terytorialnie państw świata – jej powierzchnia jest niemal 7,5 razy większa od Polski. Większość kraju zajmuje las tropikalny, przez który wije się rzeka Kongo wraz ze swoimi dopływami, tworząc ogromną sieć wodną. To tu piękno przyrody jest domem dla wielu zwierząt, w tym szympanсів, słoni, pawi kongijskich oraz gatunków zagrożonych wyginięciem, takich jak bonobo, goryl górski i okapi.

Zasoby naturalne DR Konga należą do najbogatszych na całym globie. W ziemi wokół rzeki Kongo kryją się setki minerałów i metali szlachetnych – od złota i diamentów, przez uran, mangan, cynk, aż po kobalt i koltan. Te ostatnie wykorzystywane są w nowoczesnych technologiach m.in. do produkcji baterii w telefonach, laptopach czy samochodach elektrycznych. Często mówi się, że DR Konga „leży na tablicy Mendelejewa”, co doskonale oddaje jej bogactwo surowcowe.

Granice dzisiejszej DR Konga zostały sztucznie wytyczone przez Europejczyków, do czego jeszcze wrócimy, ale warto wspomnieć o pięknie i bogactwie kulturowym tego regionu. Ziemię w dorzeczu Konga zamieszkuje obecnie około 250 grup etnicznych, głównie z grupy Bantu. Największe z nich to Luba-



■ Goryl górski, Park Narodowy Wirunga

-Kasaï, Kongo, Mongo, Lubakat oraz Lulua. Chociaż każda z tych grup ma swoją historię i odrębną kulturę, to ogólnie można powiedzieć, że w ich

Ziemię w dorzeczu Konga zamieszkuje obecnie około 250 grup etnicznych (...). Chociaż każda z tych grup ma swoją historię i odrębną kulturę, to ogólnie można powiedzieć, że w ich tradycji dominują muzyka, śpiew, tańce oraz maski i rzeźby.

tradycji dominują muzyka, śpiew, tańce oraz maski i rzeźby. Zwyczaj, ceremonie i kultura materialna tamtejszej ludności są niezwykle cenne i wpisują się w wielkie dziedzictwo ludzkości.

Niedobory i niedostatki

Piękno przyrody, bogactwa naturalne i dziedzictwo kulturowe, czyli to, co w innych krajach mogłoby być fundamentem dobrobytu, w DR Konga stało się źródłem

nieustających nieszczęść. W rankingu HDI, który mierzy jakość i oczekiwaną długość życia oraz dostęp do edukacji, DR Konga od

lat zajmuje bardzo niskie miejsca – tuż obok krajów pogrążonych w chronicznych kryzysach humanitarnych. Tak niski wskaźnik świadczy nie tylko o ubóstwie, ale też o słabości państwa w zapewnianiu podstawowych usług publicznych

i dóbr, takich jak szkoły, szpitale czy dostęp do wody. Mimo ogromnych dochodów z wydobycia surowców – miedzi, kobaltu, złota czy diamentów – większość mieszkańców kraju nie czerpie korzyści z tego bogactwa. Zyski są skoncentrowane w rękach elit lub wypływają za granicę, podczas gdy społeczeństwo żyje w warunkach ubóstwa, braku infrastruktury i nieustannej niepewności. Niski współczynnik HDI w przypadku DR Konga to nie tylko efekt biedy, lecz także

symptom strukturalnej przemocy, głębokiej nierówności i chronicznej destabilizacji.

Nie będę w tym tekście próbowała wyjaśniać, dlaczego w DR Kongo dzieje się tak źle. Nie będę także podawała banalnych odpowiedzi na pytanie, jak sytuację w tym kraju poprawić. Przedstawię natomiast pokrótce historię, w której, jak się przekonamy, fala przemocy trwa nieprzerwanie od wielu dziesięcioleci, jeżeli nie stuleci. Będzie to opowieść, w której mamy zbyt wiele ofiar, zbyt wielu złoczyńców, a w której brakuje bohaterów.

Pierwsze Kongo

Historii DR Kongo nie możemy zacząć jednak zbyt późno, gdyż rdzena ludność zamieszkująca te tereny także ma swoją historię. Nie jest ona łatwo dostępna, ponieważ plemiona te nie posługiwały się pismem. Musimy zatem polegać na tradycjach ustnych i danych archeologicznych, a te ukazują, że centralna część Afryki nie była nigdy rajem. Konflikty między grupami etnicznymi w tym regionie pozostawiły po sobie ruiny wiosek oraz opowieści o napadach i podbojach.

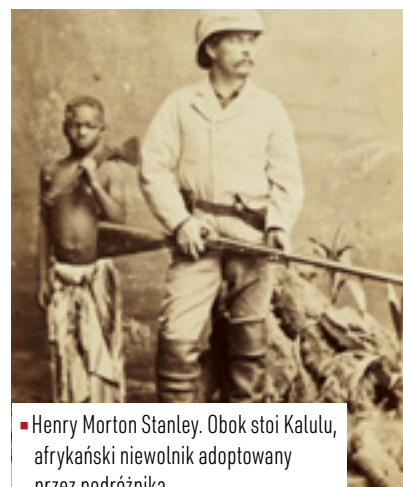
Więcej szczegółów historycznych znamy z czasu po przybyciu Europejczyków do ujścia rzeki Kongo. Ówczesne królestwa usytuowane na wybrzeżu Atlantyku: Kongo, Loango i Tio powstały prawdopodobnie jeszcze przez 1200 rokiem. Ich dominacja w regionie zaczęła podupadać wraz z przybyciem

Portugalczyków w 1483 roku. Początkowo relacje między przybyszami z północy a królestwem Kongo układały się bardzo dobrze. Afrykański władca przyjął chrzest, a jego syn Affonso jeszcze umocnił swoją pozycję. Jednak już podczas jego niemal 40-letnich rządów zaczęły się ujawniać dysproporcje między sojusznikami i partnerami handlowymi.

Affonso musiał widzieć postęp technologiczny, jakim szczycili się Portugalczycy, dlatego nalegał na przysłanie do jego kraju specjalistów i uczonych. W zamian jednak Europejczycy żądali kości słoniowej, miedzi i niewolników. Z czasem sama wymiana przestała im wystarczać, gdyż pragnęli przejąć kontrolę także nad kopalniami. Wzrost bogactwa elit i sprzedaż ludzi nie przysporzyła popularności kongijskiemu władcy, który musiał mierzyć się z konfliktami wewnętrznymi oraz napadami ościennych ludów. W ten sposób powoli potęga królestwa podupadła.

Początki ciemności

Portugalczyki przez wiele lat pozostawali tylko na wybrzeżu oceanu i w niewielkiej odległości od ujścia Kongo, jednak później zajęli również ziemie na południu, które dziś znamy jako Angolę. Dorzecze Kongo było przez kolejne stulecia niedostępne dla Europejczyków. Dopiero Henry Morton Stanley, walijski podróżnik i dziennikarz, odbył podróż przez Afrykę ze wschodu na zachód,



■ Henry Morton Stanley. Obok stoi Kalulu, afrykański niewolnik adoptowany przez podróżnika

wypełniając białe plamy na mapie kontynentu. I to właśnie Stanley w 1879 roku wyruszył do Afryki na zlecenie króla Belgów, Leopolda II, z zadaniem podporządkowania sobie ziem i ludzi: „Nie chodzi o belgijskie kolonie. Chodzi o ustanowienie nowego państwa, które będzie tak duże, jak to możliwe”, a rządzeniem miał się zająć nie kto inny, jak sam król Leopold.

W 1885 roku na konferencji berlińskiej uznano Leopolda II za władcę nowo powstałego Wolnego Państwa Kongo – ogromnego obszaru zarządzanego prywatnie przez króla i jego armię. Mimo pięknych hasel, że kolonizacja ma nieść do Afryki misję chrześcijańską i cywilizacyjną, rządy króla Belgów w Kongu były niezwykle brutalne. Miejscowa ludność była zmuszana do niewolniczej pracy przy zbiorze kauczuku, a także do dostarczania produktów rolnych na stacje misyjne. W przypadku nieosiągnięcia norm produkcyjnych stosowano okrutne kary, w tym bicie, zabójstwa i okaleczanie. Historię tego okresu i moralną kompromitację



■ Król Belgii Leopold II



■ Rycina przedstawiająca Leopolda II i inne mocarstwa cesarskie na konferencji berlińskiej w 1884

kolonializmu utrwalił na kartach swojej słynnej książki „Jądro ciemności” Joseph Conrad.

Trudno obliczyć dokładnie skalę tragedii, ale ocenia się, że w wyniku polityki Leopolda II w Kongu zginęło od miliona do nawet 15 milionów osób. Badacze szacują, że liczba ludności zmniejszyła się o około połowę, a epidemie i głód dodatkowo pogłębiały tę katastrofę. W 1908 roku Belgia oficjalnie przejęła rządy nad (dotąd prywatną) kolonią swojego władcy. Belgijskie Kongo przetrwało 52 lata, ale sytuacja rdzennej ludności nie była w tym czasie dużo

lepszą. Kolonizatorzy wychodzili z założenia, że Afryka ma im dostarczać surowców, a jej mieszkańcy byli traktowani przedmiotowo, jako narzędzia do osiągnięcia tego celu.

Nadzieja na światłość

Wiatr nadziei na zmianę losów Konga zawiał po II wojnie światowej, kiedy w całej Afryce ruszyła fala ruchów wolnościowych. Belgowie nie zamierzali jednak oddać lukratywnej kolonii. Do rozmów niepodległościowych zmusiły ich dopiero zamieszki w 1960 roku. Kongijczycy i Belgowie zasiedli przy okrągłym stole, aby wynegocjować warunki wolności. Kongijskie elity bez doświadczenia w polityce, ekonomii i zarządzaniu marzyły o samodzielności, jednak kolonizatorzy zapewnili sobie kontrolę nad wojskiem i najważniejszymi spółkami wydobywającymi surowce.

Upragniony dzień niepodległości nastąpił 30 czerwca 1960 roku, a pierwszym premierem został Patrice Lumumba. Zaledwie kilka dni później belgijski dowódca sił zbrojnych zaczął mierzyć się z niesubordynacją afrykańskich podwładnych, więc napisał na tablicy w koszarach wojskowych: „Przed niepodległością = po niepodległości”. Na bunt w wojsku i wygnanie Belgów nie trzeba było długo czekać. Ci ostatni swój przyczółek znaleźli w prowincji Katanga, czego skutkiem stała się groźba secesji regionu najbogatszego w złoża. Młody premier nie miał kontroli nad własnym państwem

i kiedy na jego prośby o pomoc nie odpowiedziało ONZ, o pomoc w wypędzeniu Belgów zwrócił się do Sowietów.

Ta decyzja spowodowała nie tylko koniec politycznej kariery Lumumby, ale także koniec jego życia. Do gry wkroczyły Stany Zjednoczone, które nie chciały, żeby Kongo i jego naturalne bogactwa wpadły w ręce ZSRR. Lumumba został zamordowany, przy niemalym udziale Belgów, a CIA na przywódcę państwa wyniosło w 1965 roku Josepha Mobutu. Kongijczycy ponownie mieli nadzieję na zmiany, ale nowy prezydent okazał się następnym tyranem, który zapisał kolejne ciemne karty historii.

Ciemność Zairu

W 1971 roku prezydent przyjął imię Mobutu Sese Seko, zmienił nazwę kraju na Zair i rozpoczął jego afrykanizację. Nowe państwo miało tylko jedną partię polityczną i jednego przywódcę. Setki milionów dolarów, zarabianych na złożach naturalnych, także trafiały do jednej grupy beneficjentów – Mobutu i jego politycznej kliki. Budżet państwa był traktowany jak prywatna własność prezydenta, nie brakowało zatem funduszy na liczne prezydenckie posiadłości w Paryżu, na Francuskiej Riwierze czy w Szwajcarii. W rodzinnym mieście Gbadolite Mobutu wznosił sobie pałac, a w niewielkiej odległości od niego wybudował lotnisko, z którego na inne kontynenty latał ponaddzwiękowym Concorde'em. Jak sam mówił,

w zwykłym samolocie nie mógł zasnąć, więc zbyt długie loty nie wchodziły w grę.

Ponieważ Mobutu nie szczędził wydatków na swoje potrzeby, w Zairze brakowało pieniędzy na wszystko. Nie budowano nowych dróg ani nie inwestowano w edukację czy służbę zdrowia. Upaństwowione przedsiębiorstwa upadały, ponieważ Kongijczycy nie umieli nimi zarządzać. Budżet na wojsko był rozkradany przez najwyższych oficerów, więc armia, żeby się wyżywić, ściągala opłaty na blokadach dróg od zwykłych obywateli. Trudno w to uwierzyć, ale sytuacja gospodarcza po trzech dekadach rządów Mobutu była gorsza niż za czasów kolonialnych.

Niekończąca się ciemność

Mobutu zmarł na raka w 1997 roku. Pozostawił kraj w rozsypce. Liczni migranci z Rwandy, rebelianci z Ugandy i grupy paramilitarne



■ Prezydent Zairu Mobutu Sese Seko, 1983

destabilizowały sytuację na wschodzie kraju. W wyniku pierwszej wojny kongijskiej Uganda i Rwanda przeforsowały na urząd prezydenta „swojego człowieka” – Laurenta Kabilę. Ten jednak w 2001 roku został zamordowany, a prezydentem został jego syn Joseph. Już wówczas trwała druga wojna kongijska, w której brały udział ościennie państwa. Walka ta oraz jej następstwa spowodowały szacunkowo 5,4 miliona ofiar śmiertelnych, głównie z powodu chorób i niedożywienia, co czyni ją najkrwawszym konfliktem od czasów II wojny światowej.

Pokój w DR Kongo wynegocjowano w 2003 roku, więc znów pojawiła się nadzieja, która wkrótce okazała się płonna. Od ponad 20 lat sytuacja ekonomiczna w tym kraju nie staje się lepsza. Na wschodzie, gdzie wydobywane są diamenty, ropa, miedź czy kobalt, nadal jest niestabilnie, a kopalnie kontrolowane są przez miejscowe kliki. Jeden z badaczy konfliktów zbrojnych policzył, że w DR Kongo po 2003 roku walki prowadziło ze sobą ponad 120 grup militarnych, których cele, interesy i powiązania trudno ustalić.

Tymczasem pracownicy kopalni w DR Kongo pracują za około jednego dolara dziennie, bez żadnych środków ochronnych, bez ciężkiego sprzętu i bez nadziei na zmianę sytuacji. Dwie trzecie populacji zajmuje się uprawą roli, większość na małych gospodarstwach, na własne potrzeby. Mieszkańcom tego kraju nadal brakuje wszystkiego – służby zdrowia, edukacji,



■ Połów ryb na rzece Kongo

komunikacji, bezpieczeństwa i stabilności. A przede wszystkim brakuje im elit i przywódców, których te problemy obchodzą, którzy będą poszukiwać rozwiązań i będą mieć odwagę, żeby je wprowadzić. „Jądro ciemności” wciąż oczekuje na światło nadziei. ■

Małgorzata Madej



Doktor teologii i afrykanista. Specjalizuje się w misjologii, historii Kościoła w Afryce oraz w badaniach kultur, religii i języków Afryki. Ukończyła studia doktoranckie na Wydziale Teologicznym UKSW w Warszawie, jest także absolwentką Wydziału Orientalistycznego UW. Od wielu lat współpracuje z katolickimi mediami, a obecnie pełni funkcję prezesa zarządu Fundacji Prodoteo, wydawcy książek apologetycznych.

Kongo

Krew męczenników posiewem CHRZEŚCIJAŃ

O historii obecności duchowych synów Ojca Leona Dehona w sercu Afryki z prowincjałem kongijskiej prowincji księdzem Michelem Mandeyem Agbaką SCJ rozmawia ksiądz Zbigniew Chwaja SCJ, Sekretarz Misji Zagranicznych Księży Sercanów w Polsce.

■ Msza Święta prymicyjna ks. Bernarda Salamu SCJ w rodzinnej parafii w Kisangani



ks. Zbigniew Chwaja SCJ: *Vivat Cor Iesu! Bardzo się cieszę na naszą rozmowę! Znamy się już od wielu lat, ale może na początek powiedz kilka słów o sobie, o swoim powołaniu. Jak to się stało, że zostałeś Sercaninem?*

ks. Michel Mandey Agbaka SCJ: Jestem Michel Mandey Agbaka. Urodziłem się w DR Kongo, w Afryce, i mam 48 lat. Pochodzę z ośmioosobowej rodziny, mam trzy siostry i dwóch braci. Od dziecka znałem Księżę Sercanów, ponieważ to oni prowadzą parafię, z której pochodzę. A moje powołanie sięga samego dzieciństwa – pamiętam, miałem wtedy cztery lata. W naszej parafii był polski ksiądz, miał na imię Michał, ale nie pamiętam jego nazwiska. Był misjonarzem w Kongu w latach 80. Ksiądz Michał przyjeżdżał do naszej wioski, aby odwiedzić stację misyjną, i przychodził na posiłek do naszego domu, ponieważ mój ojciec był nauczycielem i katechetą. A ja za każdym razem, gdy przyjeżdżał, podbiegałem do niego i dotykałem jego białej skarpetki. To on nadał mi imię Michel, a ludzie wokół zaczęli nazywać mnie „ojcem Michellem”. Tak zrodziło się moje powołanie. Po ukończeniu szkoły średniej w 1996 roku wstąpiłem do Zgromadzenia. Spędziłem rok postulatu w Kongu na formacji, potem dwa lata w Kamerunie w nowicjacie, trzy lata w Kongu na filozofii. Następnie przez cztery lata studiowałem teologię w RPA. Na kapłana zostałem wyświęcony w 2008 roku.

Jak scharakteryzowałbyś swój kraj? Kongo znajduje się w Afryce Środkowej i jest drugim co do wielkości krajem w Afryce, zamieszkałym przez ponad 100 milionów ludzi. Kongo jest bogate w minerały, wodę, lasy, a populacja jest bardzo młoda. Niestety nasza polityka, nasze życie społeczne jest tak złe, że wielu ludzi żyje w ubóstwie. Nie ma pracy dla ludzi, zwłaszcza młodych, a jeśli ktoś ma pracę, pensja jest bardzo niska. Przykładowo nauczyciel zarabia mniej niż 150 dolarów miesięcznie, więc trudno jest taką kwotą pokryć nawet najpotrzebniejsze wydatki. Opieka zdrowotna jest bardzo zła, a sytuacja społeczeństwa w Kongu jest moim zdaniem jedną z najsmutniejszych, najtragiczniejszych na świecie.

To, o czym mówisz, napawa smutkiem... Czy dostrzegasz jakieś prześłyki nadziei?

Tym, co daje nadzieję w Kongu, jest praca Kościoła Katolickiego. W Kongu mamy, jak powiedziałem, ponad 100 milionów mieszkańców, a katolicy stanowią połowę tej liczby. Oznacza to 50 milionów katolików. Kolejne 30% to protestanci, 10% to muzułmanie, a pozostali wyznają religię tradycyjną. Kościół Katolicki jest zatem najpotężniejszą instytucją w kraju. Robi prawie wszystko. Stał się jakby głosem ludności Konga, ponieważ prowadzi kościoły, szpitale, uniwersytety. Jeśli chcesz uzyskać dobrą edukację, powinieneś chodzić do szkół katolickich, a jeśli chcesz otrzymać dobrą opiekę zdrowotną, musisz udać się do katolickich

szpitali lub przychodni. Oznacza to, że Kościół ma władzę. Jest najsilniejszą instytucją w kraju.

A Sercanie jak długo posługują w Twojej ojczyźnie?

Misja w Kongu sięga 1897 roku i została założona przez biskupa Gabriela Grisona SCJ i księdza Gabriela Luxa SCJ. Byli to dwaj francuscy Księża Sercanie, którzy przybyli, aby otworzyć misję w Stanley Falls, w regionie Kisangani, w północnej części kraju. W latach 50. mieliśmy dużą liczbę współbraci, którzy pracowali w tym czasie w Kongu. Zakładali kościoły, misje, szkoły, szpitale, organizowali wszelkiego rodzaju pomoc społeczną, edukacyjną, zdrowotną. Niestety, w latach 60. wybuchła rebelia Simba. W 1964 roku zginęło 25 braci Sercanów. Po tych wydarzeniach niektórzy wrócili do Europy, a inni kontynuowali misję, która trwa do dziś.

Warto w tym miejscu wspomnieć o kongijskich męczennikach rebelii, którzy dziś są błogosławieni.

Tak. W Kongu mamy wiele miejsc pielgrzymkowych, ale najbardziej znanym jest sanktuarium w Isiro związane z Błogosławioną Siostrą Klementyną Anuaritą Nengapetą, jedną z ofiar rewolucji Simba. Zginęła z naszymi współbraćmi, broniąc swej czystości. W 2024 roku obchodziliśmy 60. rocznicę jej męczeńskiej śmierci, ta uroczystość zgromadziła wielu wiernych, biskupów, a nawet prezydenta. W Kongu mamy jeszcze



■ Od lewej: ks. Zbigniew Chwaja SCJ, ks. Michel Mandey Agbaka SCJ, ks. Antoni Osowski SCJ – misjonarz w Zairze (DRK) od 1971 do 2000, następnie na misjach w Kamerunie od 2000 do 2015

dwóch błogosławionych Kościoła Katolickiego. Ksiądz Albert Joubert także został zabity w 1964 roku pod

Rośnie liczba powołań w Kongu, powstają nowe parafie, nawet my sami budujemy nowe kościoły. Oznacza to, że Kościół rośnie, a potrzeba księży i sióstr nie maleje, ponieważ jest wiele do zrobienia.

czas rebelii. Z kolei Izidor Bakanja był katechistą i kiedy kazano mu wyprzeć się wiary, nie zgodził się, został uwięziony i zabity w 1909 roku (15 czerwca 2025 roku odbyła się beatyfikacja Floriberta Bwana Chui Bin Kositiego, młodego Kongijczyka, który oddał życie sprzeciwiając się korupcji – przyp. red.).

Jako Księża Sercanie 26 listopada obchodzimy tzw. Sercański Dzień Pamięci, właśnie w rocznicę śmierci wspomnianych misjonarzy męczenników w Kongu.

Zgadza się. Po tamtych wydarzeniach sercańska misja, duszpasterstwo nadal były kontynuowane, ale

w inny sposób. Większość placówek misyjnych została oddana lokalnym księżom diecezjalnym, których swoją drogą Sercanie sami uformowali. Na początku bowiem Sercanie w Kongu formowali lokalnych księży, nie mając swojego seminarium. Dopie-

ro w latach 70. zaczęliśmy formować kongijskich Sercanów. Obecnie w zgromadzeniu w Kongu jest 157 braci Kongijczyków. Samych księży jest 120. Mamy też studentów. Prowadzimy duszpasterstwo w parafiach, mamy szkoły, szpitale, jesteśmy również zaangażowani w działania społeczne, takie jak opieka nad dziećmi, które nazywamy „dziećmi ulicy”, czyli tymi, które zostały porzucone przez rodziców lub oskarżone o bycie czarownicami. Staramy się dać im nadzieję, uformować ich. Prowadzimy także

sierociniec w Kongu, formujemy młodych ludzi, szczególnie dając im dobre wykształcenie. Troszczymy się o mniejszości etniczne, o które nie dba kongijski rząd. W Douye, w głębokim lesie Quatorle Forest, mamy szkołę z internatem tylko dla Pigmejów, jest ich ponad 300.

A jak wspominać w Kongu polskich misjonarzy?

Jeśli się nie mylę, pierwszy polski ksiądz przyjechał do Konga w latach 70. XX wieku. Byli dobrymi duszpasterzami. Jak powiedziałem, moje własne powołanie pochodziło od polskiego księdza, który był blisko ludzi, zawsze ich odwiedzał, rozmawiał z nimi. Polscy misjonarze byli takim spoiwem Sercanów w Kongu.

Jak to rozumieć?

W naszej prowincji mieliśmy tak jakby dwa bloki. Po jednej stronie byli Belgowie i Holendrzy, a po drugiej – Włosi. A Polacy byli pośrodku, próbując zachować równowagę. Zauważyłem, że nie mieli większych trudności, aby wejść w środowisko mieszkańców, ponieważ ich sposób działania był bardzo prosty. Nie przynosili dużych pieniędzy, ale wnosili swoje serce. Nie mieli wielu projektów, ale byli kapłanami, duszpasterzami, zawsze z ludźmi. Wciąż pamiętam jednego z polskich księży, który do dziś jest wspominany przez katechetów – ksiądz Władysław Stasiak SCJ (red. 1974–2003). Nazywaliśmy go „Papa”, to znaczy „Tata”. Był osobą bliską ludziom, dobrym kaznodzieją, bardzo prostym i dobrym

wychowawcą, zwłaszcza w zakresie katechizmu. Kiedy jedzie się na peryferie, wszędzie go znają i wspominają. Jeździł do pracy na motocyklu, potrafił się dostosować w różnych sytuacjach. Mogę powiedzieć, że jesteśmy bardzo wdzięczni za pracę, którą polscy Księża Sercanie wykonali w Kongu. Jej owoce trwają do dziś. Uformowali wielu młodych ludzi, katechistów, wykonali dobrą robotę.

Jak scharakteryzowałbyś Kościół Katolicki w Kongu?

Myślę, że cechą charakterystyczną Kościoła w Kongu jest to, że ludzie są zakorzenieni w swojej wierze. Ponieważ mamy w sumie ponad 80% chrześcijan, katolików i protestantów, widać, że wiara jest w centrum życia ludzi. Wszędzie, gdzie się udasz – w taksówce, w autobusie, na ulicy – widzisz ludzi modlących się, głoszących kazania. Źródłem tego jest to, że kiedy pierwsi misjonarze przybyli tu wraz z kolonizatorami,



■ Błogosławiona Maria Klementyna Anuarita Nengapeta

próbowali oczyścić to, co było starymi tradycjami. Wszystko, co było lokalną religią, zostało po prostu wymazane z życia ludzi. Mogę więc powiedzieć, że wszyscy zostali ochrzczeni, ponieważ Kościół był Kościołem kolonizatora. Ale teraz istnieje pewien ruch ludzi, którzy chcą powrócić do swojej tradycji, „odzyskać” dawne praktyki religijne. Wciąż jednak większość Kongijczyków jest naprawdę zakorzeniona w wierze chrześcijańskiej.



■ Ks. Dieudonné Munia SCJ, sekretarz prowincjalny w DR Konga, przewodniczący liturgii Niedzieli Palmowej w wiosce w lesie równikowym

Jaką perspektywę wobec tego widzisz dla Kościoła w Kongu?

Kościół w Kongu jest „Kościółem w toku”. Pamiętam, jak w zeszłym roku w jednej z naszych parafii, Ibambi, mieliśmy ponad 300 chrztów w Niedzielę Wielkanocną. Widać, że Kościół się rozwija. Każdego roku mamy nowych ochrzczonych, ludzi, którzy biorą ślub, i udzielane są sakramenty. Rośnie liczba powołań w Kongu, powstają nowe parafie, nawet my sami budujemy nowe kościoły. Oznacza to, że Kościół rośnie, a potrzeba księży i siostr nie maleje, ponieważ jest wiele do zrobienia. Jednocześnie wracam do tego, co mówiłem na początku – Kościół w Kongu jest najpotężniejszym głosem, najsilniejszą strukturą, która pomaga ludziom. To, co jest pilnie potrzebne, to przede wszystkim formacja, edukacja. Ludzie muszą dostać dobrą edukację, poczynawszy od

dzieci w parafiach, formacji katechetów, studentów, to jest bardzo, bardzo ważne. W Kongu mamy również problem ze zdrowiem. Tylko 20% ludzi ma dostęp do czystej wody. Jeśli pojedziesz do wiosek, nawet w niektórych naszych wspólnotach, księża nie mają czystej wody. Trzeba po nią jechać daleko. To trudne. Dlatego w kwestiach egzystencjalnych w tej chwili najpilniejsze jest zapewnienie ludziom wody i edukacji.

Czyli z tego wynika, że wy również jako prowincja nadal jesteście w dużej mierze zależni od pomocy z zewnątrz?

Jak powiedziałem, budujemy nowe kościoły, infrastrukturę w naszych parafiach i wspólnotach. To też jest bardzo ważne. Perspektywa na przyszłość dla nas jest taka, że przede wszystkim staramy się zdobyć więcej środków, aby

stać się autonomicznymi, samowystarczalnymi, ponieważ rzeczywiście wciąż jesteśmy zależni od pomocy z zewnątrz. Jednocześnie wiemy, że nawet w zachodnim świecie sytuacja się zmienia. Staramy się więc zbudować lokalny system, który pomoże nam utrzymać misję w przyszłości. Myślę, że jest to również perspektywa naszej prowincji na najbliższe dziesięć lat, aby stawać się coraz bardziej niezależnymi, mieć środki, które pomogą nam utrzymać naszą misję, ponieważ nie mamy już więcej misjonarzy. Obecnie w Kongu mamy tylko czterech zagranicznych misjonarzy: jednego z Polski, dwóch z Włoch i jednego z Brazylii. Oznacza to, że ich liczba maleje i musimy na swoje barki wziąć pełnię odpowiedzialności za prowincję Sercanów w Kongu. ■

Dziękuję za rozmowę.



■ Księża Sercanie z kongijskiej prowincji na zakończenie zgromadzenia prowincjalnego, Kisangani, luty 2025

Rebelia Simba

Rebelia Simba, która w latach 1963–1965 ogarnęła wschodnią część kraju, była prowadzona przez zwolenników premiera pierwszego rządu po uzyskaniu niepodległości przez Kongo Belgijskie, Patrice’a Lumumby, odsuniętego od władzy w 1960 roku, a następnie zabitego w styczniu 1961 roku w Katandze.

Simba w języku suahili znaczy „pantera”. Rebeliantów rekrutowano z buntowników z wojska, współplemieńców i bojowników młodzieżowych. Chociaż Simba byli przeciętnie dobrze zmotywowani, brakowało im dyscypliny, a ich dowództwo było często chaotyczne. Byli również słabo uzbrojeni, a wielu rebeliantów, szczególnie w początkowej fazie działań, posługiwało się głównie maczetami i włóczniami.

Lumumbistów walczących na wschodzie wsparła setka kubańskich żołnierzy dowodzonych przez Che Guevarę. Oprócz rodowitych Kongijczyków w skład wojowników Simba wchodził także rwandyjscy wygnańcy, którzy mieli nadzieję, że rząd kierowany przez Simba wesprze ich własne wysiłki w Rwandzie.

Ze względu na szeroki zakres przekonań politycznych wśród lumumbistów przypisanie ideologii do rebelii jest bardzo złożone. Faktem jest, iż kongijskie dowództwo szkoliło się w Chinach i głosiło hasła socjalistyczne. Bojownicy praktykowali również system tradycyjnych wierzeń. Montegle Stearns, dyplomata Stanów Zjednoczonych, określił idee przyświecające rebeliantom w następujących



■ Patrice Lumumba, 1958

słowach: „Ideologię ruchu [Simba] stanowiła mieszanka nacjonalizmu, wiejskiego marksizmu i magii”.

W swoim świadectwie książd Charles Schuster SCJ przytacza kilka sytuacji, które rzucają więcej światła na ów wątek magiczny: „Bojownicy Simba nie mogli dotykać zwłok ludzi zamordowanych, aby nie utracili swej magicznej siły niezwycięzonych. (...) Simba nie może dotknąć psa i wielu innych przedmiotów codziennego użytku, aby nie stracić, przez zetknięcie się z nimi, magicznej siły niezwyciężonego. (...) Regulamin armii rebelianckiej zabrania wszystkim Simba jakichkolwiek stosunków z kobietami, nawet z ich własnymi żonami. Simba nie wierny temu zakazowi traci automatycznie swoją niezniszczalność i osiągnięty kulą przeciwnika zamienia się w wodę”.



■ Rebeliant Simba w tradycyjnym stroju i z tradycyjną bronią

Rebelianci Simba mieli za zadanie oczyścić Kongo z wszelkich naleciałości kolonizacyjnych. W końcowej fazie walk występowali przeciwko misjonarzom i ich współpracownikom. Postrzegali ich jako posiadających przerażającą wiedzę i moce, które zagrażały przyszłości niepodległego Konga. Frustracja społeczna, nieufność i walka o władzę otworzyły drogę do eksplozji przemocy, której ofiarami w listopadzie 1964 roku padło 26 sercańskich misjonarzy. Wielu z nich mogło uniknąć przemocy, chroniąc się w dużym mieście, ale zdecydowali się pozostać w swoich stacjach misyjnych wraz ze wspólnotami chrześcijańskimi powierzonymi ich opiece.

Lata 60. i chaos panujący wtedy w Kongu Belgijskim spowodowany licznymi wojnami domowymi można śmiało porównać z okrucieństwami II wojny światowej. Sama tylko rebelia Simba w sumie przyniosła śmierć 12 misjonarzom i misjonarkom. Nikt nie potrafi podać dokładnej liczby współpracowników świeckich – tak z Europy, jak i z samego Konga – którzy wraz z nimi ponieśli śmierć męczeńską. ■



Kalwaria i męczeństwo misjonarzy w Kisangani

Na podstawie świadectwa księdza Charles'a Schustera SCJ, jedyne-
go ocalałego z masakry misjonarzy i świeckich Europejczyków w Kisangani
25 listopada 1964 roku.

Tłumaczenie: ks. Władysław Stasik SCJ
Opracowanie: Marta Czajka

Misja w Ubundu

Misja katolicka w Ubundu, leżącym 90 kilometrów od Kisangani, latem 1964 roku liczyła trzech Księżów Sercanów i jednego Brata zakonnego. Ksiądz Jean Trausch SCJ był przełożonym wspólnoty i odpowiedzialnym za Legion Maryi. Ksiądz Charles Schuster SCJ wizytował kaplice wioskowe wśród plemion Bakumu, Bahutu oraz Walengola. Brat Hendrik Vanderbeek SCJ prowadził stolarnię misyjną. Ksiądz Jacques Steffen SCJ, który był dyrektorem szkoły średniej dla chłopców i odpowiedzialnym za harcerstwo, od 19 czerwca przebywał w Europie i tak uniknął wydarzeń poniżej przedstawionych.

W tym czasie w Ubundu posługiwały także siostry zakonne ze Zgromadzenia Doktryny Wiary. Prowadziły szkołę średnią dla dziewcząt, miejscowy szpital i porodówkę, otaczały opieką trędowatych. Były wśród nich Francuzki, Belgijki i Luksemburki. W sierpniu 1964 roku tylko trzy siostry misjonarki były na miejscu w chwili przybycia rebeliantów. Dwie przebywały w Europie, cztery wyjechały do Kisangani i miały wrócić do Ubundu na rozpoczęcie roku szkolnego. Nauczycielkami w niższych klasach szkół podstawowych były siostry Kongijki, mieszkające w oddzielnej wspólnotcie, przynależącej do Zgromadzenia Świętej Rodziny, założonego przez Księżów Sercanów.

W miesiącach poprzedzających opisywane wydarzenia życie na

misji biegło normalnym trybem, nie można było przewidzieć tragedii, która czyhała tuż za rogiem. Stosunki między misjonarzami i tubylczą ludnością układały się nawet lepiej niż przed uzyskaniem niepodległości w roku 1960. Po ogłoszeniu niepodległości Europejczycy, którzy pracowali w administracji państwowej, a także większość właścicieli plantacji i kupcy, wyjechali do Europy. Misjonarze zostali na miejscu. Dla ludzi był to jasny sygnał, że przyjechali do Konga ze względu na nich, a nie z chęci bogacenia się.

W miesiącach poprzedzających opisywane wydarzenia życie na misji biegło normalnym trybem, nie można było przewidzieć tragedii, która czyhała tuż za rogiem.

Sama miejscowość Ubundu liczyła pięć tysięcy mieszkańców, ale misja w sumie opiekowała się 35 tysiącami ludzi. Połowa mieszkańców misji ochrzczona była w Kościele Katolickim, resztę stanowili muzulmanie i animiści. Muzulmanie zawsze byli w opozycji do katolików, a w czasie rebelii stali się dla chrześcijan źródłem wielu cierpień.

Przybycie rebeliantów

Ludność Ubundu wraz z misjonarzami czekała z wielką niepewnością i strachem na przybycie rebeliantów. Stało się to 12 sierpnia 1964 roku. Ludzie udali się z kwiatami

na dworzec kolejowy, aby uroczście powitać przybyłych pociągiem rebeliantów. Kwiaty w rękach nie były wyrazem radości, lecz wymuszonej uległości. 12 miejscowych żandarmów wysłało na misję delegację z zapytaniem, co mają robić wobec zaistniałej sytuacji. „Proszę się im poddać” – powiedział ksiądz Trausch. „Cóż wy możecie zdziałać przeciwko nim?” Poszli więc i oni.

Jeszcze tego samego dnia grupa rebeliantów przybyła pieszo przed dom księży. Na odgłos wystrzałów ksiądz Trausch wyszedł do nich na rozmowy. Gdy ksiądz Schuster również ukazał się przed domem, rebelianci poznali go (należeli bowiem do plemienia Bahutu, wśród którego pracował) i zaczęli krzyczeć: „Księżu, jak się ksiądz czuje?”.

Ich szef, który nigdy nie miał żadnego kontaktu z księdzem Schusterem, zapytał: „Ten ksiądz jest dobrym człowiekiem czy złym?”. Padła odpowiedź: „Bardzo dobrym”.

Rebelianci weszli do domu misjonarzy i od razu zapytali o broń. Księża oddali im strzelbę do polowania. Rebelianci zażądali też, aby oddać im wszystkie samochody, jakich księża używali do pracy duszpasterskiej. Wobec odmowy zaczęli grozić użyciem broni. Tak oto pierwszego wieczoru pobytu rebeliantów w Ubundu Sercanie stracili dwa auta. Zrozumieli, że sytuacja jest znacznie gorsza niż ta z 1960 roku, przy ogłoszeniu niepodległości Konga. Wszelki opór wydawał się bezużyteczny.

Następnego dnia, 13 sierpnia, trzech policjantów zatrzymanych w dniu przyjazdu rebeliantów zostało zastrzelonych. Wszyscy mieszkańcy byli zobowiązani uczestniczyć w wykonaniu „wyroku”. 14 sierpnia o świcie miało miejsce pięć kolejnych egzekucji. Każdą osobę poddawano sądowi tzw. Trybunału Ludowego. Bojownicy rebelii wskazywali na konkretną osobę i pytali zebranych: „Ten człowiek jest zły czy dobry?”. Odpowiedź: „Zły” skazywała więźnia na śmierć.

Tego samego dnia nowa grupa rebeliantów przybyła do Ubundu. Udali się oni bezpośrednio na misję. W garażu księży znajdowało się jeszcze auto należące do Kongijczyka o nazwisku Kulu, przyjaciela księży, który mimo że był muzułmaninem, uciekł do lasu do swojego brata. Niewiele brakowało, a ksiądz Trausch straciłby życie, gdyż nie miał kluczyków od tego wozu.

Ostatnich piętnaście dni sierpnia

W uroczystość Wniebowzięcia, około godziny 17:00, słychać było na nowo strzały przed misją. Należało to już prawie do rytuału. Rebelanci wyskoczyli z ciężarówek i otoczyli dom w taki sposób, żeby nikt nie mógł uciec. Szef grupy patrzył uparcie na księży ponurym spojrzeniem, bez najmniejszego słowa, do momentu, aż wszyscy spuścili wzrok ku ziemi. Następnie

powiedział niemiłym głosem: „Ludzie mówią, że jesteście złymi księżmi. Będziecie wszyscy rozstrzelani”. „Dlaczego mielibyśmy być złymi księżmi?” – spytał ksiądz Schuster. „Spójrz! Ja dziś jestem już starym człowiekiem. Gdy przybyliśmy do Konga, byliśmy jeszcze młodzi i przez cały czas naszego pobytu tutaj pracowaliśmy dla dobra tego kraju. Popatrz na szkoły koło naszego domu, to my je wybudowaliśmy. A w Kisangani? Seminarium i prawie wszystkie szkoły są wybu-

Stary aparat filmowy uznano za nadajnik radiowy służący do porozumiewania się z Amerykanami. Po surowym przesłuchaniu trzech misjonarzy skazano na odbycie kary aresztu.

dowane przez nas. Najmądrzejsi ludzie Konga, dyrektorzy szkół i inni, byli moimi uczniami. W Kinszasie pięciu senatorów było wykształconych przez nas. A ty mówisz, że my jesteśmy złymi księżmi?”. „Jeżeli to prawda” – odbąknął tamten trochę zażenowany – „to ty zostaniesz tu z bratem zakonnym, a my zastrzelimy najpierw księdza Trauscha”, po czym odjechali z przelożonym misji.

Około 19:00 pod dom księży podjechało jakieś auto. Wysiadł z niego ksiądz Trausch. Co działo się z nim przez te dwie godziny?

Przed biurem administracji Trybunał Ludowy stawiał ludziom pytanie: „Czy ten ksiądz jest dobry czy zły?”. „Zły!” – odpowiadał

muzułmanie. Prowadzą więc księdza w stronę rzeki na egzekucję. Wtem pojawiał się ktoś, kto zgłaszał wątpliwości. Wracali więc przed Trybunał Ludowy. Taka „zabawa” trwała prawie dwie godziny. Ostatecznie jeden Simba stwierdził, że przed egzekucją trzeba zasięgnąć porady u komendanta. Udali się do niego wszyscy wraz z księdzem. Komendant przywitał misjonarza bardzo serdecznie, podał mu krzesło i spytał, o co chodzi. Ksiądz Trausch odparł, że został postawiony przed Trybunałem Ludowym, a ten skazał go na rozstrzelanie. „Nic z tego” – odpowiedział komendant. „Ja znam historię tego księdza”. I po wypiciu z księdzem szklanki piwa odwiózł go osobiście do domu.

Po tych przykrych wydarzeniach z księżmi siostry zakonne kładły się na spoczynek w habitach, czekając na chwilę nawiedzenia ich przez rebeliantów. Wiedziały, że przychylność komendanta nie gwarantowała im bezpieczeństwa. Ich życie zależało od złych lub dobrych humorów bojowników Simba... A ci byli ciągle aktywni. „Simba nigdy nie śpi” – mówili. Przyjeżdżali pod misję o godzinie 22:00, wracali jeszcze raz o północy i znowu nad ranem. Zawsze prosili o zegarki i o wszystko, co im przyszło na myśl. Kraść nie mogli, dlatego prosili. Wszystko kontrolowali po kilka razy, wszędzie zaglądali. Włączali radio, sprawdzając, jakich stacji słuchają misjonarze,

a dozwolone było słuchanie jedynie stacji Kisangani.

Początek roku szkolnego

Wszystkie prace na misji kontynuowano, lecz z łatwością można było wyczuć ducha przygnębienia i niepewności. Rebelianci powiedzieli kiedyś do sióstr: „My nigdy nie rozstrzelujemy kobiet, uważamy je za nasze matki”. To zapewnienie nie dało jednak siostrom poczucia bezpieczeństwa. Na rozpoczęcie roku szkolnego wspomniane cztery zakonniczki wróciły z Kisangani do Ubundu. Siostrom zależało bardzo na tym, żeby szkoły funkcjonowały normalnie.

Jednak w tygodniach po rozpoczęciu roku szkolnego uciążliwością dla misjonarzy były ustawiczne wizyty rebeliantów. Sam komendant przychodził kontrolować wszystkie urządzenia techniczne wspólnoty księży i sióstr, podejrzewając ich o tajne nadajniki radiowe, dzięki którym mają kontakt z Ameryką.

Komendanci rebeliantów zmieniali się często. Trzeci z nich był człowiekiem skrytym i mało kontaktowym, przepełnionym nienawiścią i wzdąciem do misjonarzy. Od początku swojego urzędowania zajmował się organizowaniem „młodzieży rewolucyjnej”. Do grupy tej przyjmowani byli zdeprawowani chłopcy w wieku 13 i 14 lat, młodociani przestępcy zażywający lokalne narkotyki. Komendant posługiwał się nimi do „wykrywania przestępstw”, z których nikt uczciwy nie zdawał



■ Policja na ulicach Konga podczas rebelii Simba

sobie nawet sprawy. Bodajże 12 listopada „wykryli” oni w magazynie księży trzy flagi belgijskie i stary aparat filmowy, do którego już od paru lat nie było filmów. Najbardziej kompromitujące znalezisko było jednak w pokoju brata Hendrika: woltomierz i kompas oraz słuchawka ze wzmacniaczem dla osoby słabosłyszącej. Stary aparat filmowy uznano za nadajnik radiowy służący do porozumiewania się z Amerykanami. Po surowym przesłuchaniu trzech misjonarzy skazano na odbycie kary aresztu.

W drodze do więzienia skazańcy natknęli się na bandę młodzieży rewolucyjnej bijącej siostry kijami. Czym zasłużyły sobie na takie traktowanie? Po opuszczeniu domu Księża Sercanów ekipa „poszukiwaczy wykroczeń” udała się do sióstr i znalazła tam nowe koce. Parę dni wcześniej rebelianci zwrócili się do sióstr o koce, a te przekazały im używane, lecz w dobrym stanie. „Dlaczego nie dałyście nam nowych koców, lecz stare?” Następnego dnia

siostra przełożona ukazała ramiona całe posiniaczone. Nie mogła się położyć na plecach z powodu otrzymanych razów.

Uwięzieni

Sytuacja księży i sióstr pogorszyła się znacznie od 14 listopada. Był to dzień definitywnego ich uwięzienia. W czasie przesłuchania oficer wracał do tych samych zarzutów: „Ludzie ciągle mówią, że macie u siebie ukrytą stację nadawczą. Jestem zobowiązany was zamknąć w więzieniu. Może to i dobrze, gdyż ludzie nie będą więcej źle o was mówić” – twierdził przewrotnie.

Sercanów, siostry i trzech świeckich Europejczyków, dwóch Belgów i Greka, umieszczono w domu włoskiego lekarza o nazwisku Abetti. Więźniowie otrzymywali pożywienie rano i wieczorem. Księża mogli codziennie sprawować Eucharystię. Ksiądz Trausch odprawiał Mszę Świętą dla parafian w kościele, a ksiądz Schuster dla Sióstr

Świętej Rodziny. Księżom wychodzącym z miejsca uwięzienia towarzyszył zawsze jeden Simba.

Przed domem księży była grotta Matki Bożej Fatimskiej. Ludzie palili tam ciągle świece na znak jedności z uwięzionymi i z prośbą do Maryi, aby im wyprosiła uwolnienie. Oznaki przywiązania i wdzięczności ze strony wiernych były w tamtych dniach jedyną pociechą dla uwięzionych. 14 listopada był zaiste początkiem ich prawdziwej drogi krzyżowej. W pierwszy wieczór młodzieżówka świeżo zwerbowanych rebeliantów, odurzonych narkotykami, urządziła ogłuszający koncert bicia tam-tamów do melodii i tańców pogrzebowych. Księża odgadli od razu znaczenie tego harmidru.



■ Ks. Jean Trausch SCJ

Czarny dzień

Niedziela 22 listopada była bez wątpienia jednym z najtrudniejszych dni dla uwięzionych misjonarzy w Ubundu. Po porannym posiłku wartownik rebeliantów zamknął pokoje uwięzionych i zniknął. Około godziny 14:00 pojawiły się dwa samoloty,



■ Kongijscy żołnierze u boku białych najemników, zaangażowani w walkę z rebeliantami Simba

które krążyły nad miasteczkiem. Jeden Simba zdjął flagę z masztu, żeby pilot nie zauważył obozu wojskowego. Ale było za późno. Seria z karabinu maszynowego poraniła wielu bojowników Simba. Druga seria spadła na rzekę, gdzie kąpał się komendant z rebeliantami. Zanurzenie w wodzie uratowało im życie.

Po skończonym alarmie jeden Simba przyprowadził uwięzionych przed komendanta, który cały rozogniony powiedział: „Księżu Jeanie, ten człowiek widział, jak Ks. stał w progu i przywoływał samoloty amerykańskie”. Dla rebeliantów wszystkie samoloty były amerykańskie. Oczywiście oskarżenie było zupełnie fałszywe. Dom, gdzie przebywali uwięzieni, znajdował się w dolinie i był otoczony wielkimi drzewami, a drzwi były zamknięte na klucz. Ale to nie miało znaczenia.

Padł rozkaz: „Zdjąć buty, okulary, sutanny i wychodzimy pod nasz sztandar”. Przed masztem była alejka wysypana ostrym kruszywem z kamienia. Każdy z uwięzionych miał się położyć na wznak na ziemi. „Amerykanie mogą teraz przejechać i patrzeć na was”. Więźniowie dość długo zostali w tej pozycji, wystawieni na palące słońce. Potem były kolejne upokorzenia i tortury. Ta męczarnia trwała około dwóch godzin. Jej kres położyła gwałtowna burza tropikalna. Po powrocie do domu misjonarze przez następnych kilka godzin poddawani byli krwawym torturom. Podczas chłosty batogiem ze skóry hipopotama, który w Kongu uchodził za ciężkie narzędzie tortur, ksiądz Schuster przypomniał sobie słowa świętego Pawła: „Są sługami Chrystusa? Zdobędę się na szaleństwo! Ja jeszcze bardziej! Bardziej przez trudy, bardziej przez

więzienia; daleko bardziej przez chłosty, przez częste niebezpieczeństwa śmierci. Przez Żydów pięć-kroć byłem bity po czterdzieści razów bez jednego” (2 Kor 11,23-24).

Tortury trwały do 2:00 w nocy.

Dobry Samarytanin

Wczesnym rankiem Simba wylali po wiadrze wody na każdego z więźniów. Po piętnastu minutach korowód przemoczonych wraków ludzkich wyruszył boso, chwiejnie ze zmęczenia. Ubrania przesiąknięte krwią, twarze zdeformowane od bicia, siostry bez welonów. Mieli przejść prawie kilometr drogi boso po ostrych kamieniach.

Na dworcu kolejowym wszyscy zostali umieszczeni w małym hangarze. Siedzieli na ziemi z nogami wyciągniętymi do przodu. Towarzyszący im rebelianci znów zaczęli wydawać rozkazy: „Zdjąć ubrania!”. Zaczęli wszystkich bić po twarzach, zbierać z ziemi brudy i rzucać je w twarze więźniów. Tak znieważonych bili po nogach kijami i bagnetami. Jeżeli ktoś próbował uniknąć uderzenia, ściągali na siebie jeszcze większą złośliwość. Ta męczarnia trwała kilka godzin, do przybycia rodziny misjonarza protestanckiego o nazwisku Taylor. W rodzinie tej byli pastor, jego żona i czworo dzieci – dwóch chłopców (11 i 13 lat) i dwie dziewczynki (3 i 5 lat). Były jeszcze dwie leciwe panie w wieku 70 lat. Teraz Simba zajęli się nowoprzybyłymi...

Nagle z telefonicznej kabiny przydworcowej wyszedł jeden Kongijczyk, wysokiego wzrostu, pięknie ubrany, wyróżniający się od innych podróżnych, człowiek o naturalnym autorytecie. Nic nie mówiąc, patrzył na wszystko, co się działo z więźniami, a następnie wrzasnął: „Nie macie prawa do tego, co robicie, wychodźcie stąd!”. Liczni rebelianci usunęli się z hangaru.

W pierwszy wieczór młodzieżówka (...) rebeliantów, odurzonych narkotykami, urządziła ogłuszający koncert bicia tam-tamów do melodii i tańców pogrzebowych. Księża odgadli od razu znaczenie tego harmidru.

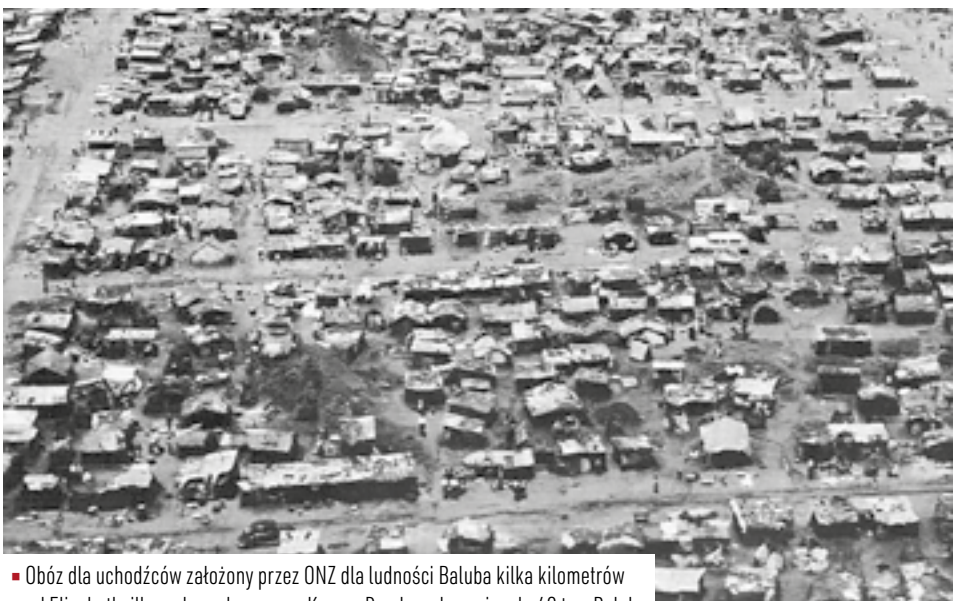
Następnie wyciągnął on z kieszeni różaniec i odmawiał go w milczeniu na oczach więźniów. Przez cztery albo pięć godzin pilnował uwięzionych misjonarzy, aby nikt do nich nie wchodził.

Okolo godziny 17:00 powiadomiono o przybyciu drezny, która miała zawieźć pojmanych do Kisan-gani. Dawało to isierkę nadziei...

Na lewym brzegu rzeki Kongo

Dreznina przyjechała do Kisangani okolo północy. Pułkownik dał polecenie więźniom, aby spędzili noc w salonie willi, tam, gdzie później będzie miała miejsce ich egzekucja. Światło było ciągle zapalone, każdy znalazł swój kącik i ułożył się do spania na betonowej podłodze. Był już wtorek, 24 listopada.

Rano więźniowie usłyszeli warkot ciężkiego samolotu transportowego, który przeleciał nad nimi. O godzinie 7:00, gdy już wiadomo było o przybyciu spadochroniarzy belgijskich na prawy brzeg miasta, padło polecenie: „Wszyscy do piwnicy”. Pani Taylor i trójka dzieci zostali na górze.



■ Obóz dla uchodźców założony przez ONZ dla ludności Baluba kilka kilometrów od Elisabethville podczas kryzysu w Kongu. Przebywało w nim ok. 40 tys. Baluba

Okolo godziny 8:00 Simba przy- prowadzili do piwnicy księży i sio- stry z misji św. Marty oraz siedem innych sióstr zakonnych. Wszystko to byli Europejczycy, ale nie Belgo- wie. Ci już od dawna byli uwięzieni, lecz przebywali na prawym brzegu Kisangani. Oni zostaną uwolnieni przez belgijskich spadochroniarzy.

W godzinach popołudniowych rozległo się wycie syren z dworca ko- lejowego i jazgot karabinu maszy- nowego. Była to odpowiedź na atak samolotu, który przybył ze strony prawobrzeżnej i atakował pozycje rebeliantów po lewej stronie miasta Kisangani. Rebelianci ukryli się w salonie willi i przez okna strzelali w stronę samo- lotu. Simba zmusili zakrwawioną panią Taylor do zejścia do piwnicy ze swoimi dziećmi.

Późnym wieczorem rebe- lianci zabrali wszystkie sio- stry na górę. Gdy wróciły do piw- nicy, mimo znieważenia ich stanu zakonnego, miały jeszcze siły, aby pomagać innym. Dozorca więzien- ny przyniósł trochę wody w kasku, którą siostry obmywały rany dzieci pani Taylor. W nocy, przy zapalanej zapałce widziano dzieci na rękach sióstr. Tak minęła noc.

W środę rano, 25 listopada, znów słychać było strzelaninę, war- kot samolotów, wybuchy pocisków z moździerzy. O 9:00 przyniesio- no więźniom trochę bananów do jedzenia. Siostry swoje racje odda- ły księżom. One jadły poprzednie- go dnia, kapłani nie jedli od daw- na. Każdy z mężczyzn otrzymał po

pół banana. Po południu dostali tro- chę wody do picia w kasku.

Nowe ofiary

Po godzinie 16:00 słychać było ru- mor przed domem. Przywieziono kolejnych księży i siostry z Yanon- ge. Pod wieczór dało się słyszeć jesz- cze jedno wołanie Simba: „Jeden ksiądz i jedna siostra niech wyjdą do góry!”. Wszystkich znowu spa- raliżował strach. Co teraz wymyślili zbirowie? Nikt nie chciał iść. W koń- cu ksiądz Bosch, Holender, wstał,

„Jeden ksiądz i jedna siostra niech wyjdą do góry!”. Wszystkich znowu sparaliżował strach. Co teraz wymyślili zbirowie? Nikt nie chciał iść. W końcu ksiądz Bosch, Holender, wstał, mówiąc: „Ja dziś jeszcze nie byłem bity, pójdę”.

mówiąc: „Ja dziś jeszcze nie byłem bity, pójdę”. Później jeszcze ksiądz Trausch został wywołany na górę, a po nim siostry, jedna po drugiej, jak poprzedniego dnia.

Gdy zapadła noc i wszyscy zna- leźli się z powrotem w małej sal- ce w piwnicy, nie pragnęli niczego poza chwilą spokojnego odpoc- czynku. Jakże cenne były te chwi- le spokoju. Więźniom nie wolno było rozmawiać między sobą, lecz zawsze można było zamienić pa- rę słów szeptem. Jedni odmawia- li po cichu różaniec, inni rozwa- żali stacje Drogi Krzyżowej. Tam na dole można było zrozumieć, czym było osamotnienie i męka

Chrystusa w Getsemani. On rów- nież stanął przed trybunałem ludo- wym, został skazany przez własny naród jako „zły” i zamordowany przez swoich. On również był bi- ty, poniżany, wyśmiewany i odarty z szat. To dzięki tym myślom wię- zniowie mieli jeszcze siły do poko- nywania trudności.

Męczeństwo

Tego wieczoru cisza nie trwała dłu- go. Przerwał ją rozkaz: „Ubierać się!”. Księża włożyli sutanny, sio- stry poprawiły welony – te,

które je miały. Wszyscy wy- szli, by ustawić się przed willą, w której przebywali. „Wy- jąć wszystko z kieszeni” – za- brzmiał drugi rozkaz. Każdy wyciągał, co miał: chustecz- kę, różaniec, świadectwo toż- samości. Wszystko złożono

w jednym miejscu. Ksiądz Schuster przez zapomnienie zostawił w kie- szeni swoich spodni różaniec, gru- by zegarek i dwie chusteczki.

Wszystkich wprowadzono do wielkiej sali na parterze. Ustawie- ni w dwóch rzędach, patrząc na sie- bie, stali wzdłuż sali. Dwunastu mę- czyzn z jednej strony i czternaście sióstr z drugiej. Było okolo godziny 20:00. Między dwoma rzędami leża- ła na ziemi jedna z dwóch staruszek z rodziny pastora Taylora (drugiej seniorki, dzieci pastora i ich matki nie było na sali).

Głos szefa rebeliantów przerwał milczenie: „Mówicie zawsze, że je- steście Bożymi ludźmi. To nie jest



■ Projekt odbudowy gospodarczej w Albertville po rebelii Simba, 1965

prawdą! Przyjechaliście tutaj, by mieszać się do polityki”. Zadowolony ze swoich słów, powtórzył je parę razy. Po chwili stojący przed drzwiami Simba zaczęli strzelać w sufit i przerażliwie krzyczeć. Z karabinów sypał się ogień, kule odbijały się od sufitu i ścian. Po kilku minutach było niemało po wszystkim.

Ksiądz Schuster, kilkakrotnie postrzelony, zrzędzeniem Bożym nie umiera. Ma jeszcze siłę unieść rękę i wypowiedzieć słowa rozgrzeszenia do wszystkich, którzy tego dnia, 25 listopada 1964 roku, zginęli śmiercią męczeńską. Sam, udając martwego, czekał na rozwój sytuacji.

Młodzież rewolucyjna zaczęła przenosić ciała na taras. Dwóch osiłków wzięło księdza Schustera za nogi, a dwóch za ręce i nie wiedząc, że jest jeszcze żywy, zanieśli go na werandę. Gdy Simba odeszli, nasłuchiwał i starał się coś dostrzec w ciemności, lecz wszędzie było cicho. W końcu wstał, zdjął swoją sutannę i ruszył na tyły domu, a stamtąd do wąwozu pełnego wybujałych traw, i dalej

w stronę rzeki. Na małym poletku manioku pozostanie ukryty do piątku rano. W tym czasie kilka osób zjawiało się blisko miejsca, gdzie leżał, by zerwać liście manioku, ale – w niewytłumaczalny dla ocalałego sposób – nikt go nie zauważył.

Rany sprawiły, że ksiądz mógł leżeć jedynie na boku, całymi godzinami na przemokłej po deszczu ziemi. Rana na plecach sprawiała wielki ból przy każdym poruszeniu się. Gdy zapadała noc, niemożliwe było zasnąć. Godziny ciągnęły się bardzo wolno, aż do świtu. Dopiero po czasie ksiądz zauważył, że leży na czymś twardym. Były to jego zegarek i różaniec, dwie rzeczy jakże wartościowe w jego sytuacji. Zegarek będzie mu wskazywał długie godziny czekania i udręki. A dzięki różańcowi będzie rozważał wszystkie tajemnice zbawienia, poczynając od bolesnych.

W piątek rano ksiądz Schuster odczuł niesamowite pragnienie i głód. Ostatnim posiłkiem było pół banana zjedzone w środę rano. Myślał: „Jeżeli wyzwolenie nie przyjdzie dziś, to będę musiał stąd wyjść

i znaleźć jakie rozwiązanie”. Około godziny 7:30 wzmogła się wymiana ognia między prawym i lewym brzegiem rzeki. Ksiądz przygotowywał się już do powstania i ujawnienia się, gdy nagle usłyszał koło siebie krzyk: „Mulle! Mulle!”. Było to zawołanie bojowników Simba idących do walki. Oni też byli ukryci w manioku!

Około godziny 9:30 wystrzały oddaliły się dość daleko. Na drodze słychać było głosy mężczyzn. Ksiądz Schuster widział żołnierza Europejczyka czuwającego razem z żołnierzem kongijskim. Inny szedł spokojnie drogą. „Nadszedł czas” – pomyślał ksiądz i wyskoczył ze swojej kryjówki, dając znak ręką, że chce się zbliżyć. Żołnierz będący na drodze podniósł broń do ramienia, lecz nagle opuścił ją i zaczął przywoływać dziwne widmo wychodzące z manioku.

Nadbiegli ciekawscy. Ksiądz Schuster opowiedział, w jaki to sposób Simba wymordowali całą grupę misjonarzy w pobliskim domu. Żołnierz odpowiedział, że już widzieli zwłoki pomordowanych.

Już w środę księdza Schustera przetransportowano do Kinszas, a następnie do Brukseli. Parę dni później Sercanin był w na tyle dobrej formie, że mógł się udać do swojej rodziny w Luksemburgu. Rany cieleśne były prawie zagojone, lecz te psychiczne i moralne będą wymagały długiego leczenia...

Ksiądz Charles Schuster SCJ zmarł 5 grudnia 1981 roku w Luksemburgu, przeżywszy 67 lat. ■

Misjonarz wśród Masajów

Moje powołanie do kapłaństwa rozpoczęło się z dala od polskiej ziemi, gdyż jako młody chłopak wraz z rodzicami wyjechałem do USA i tam dorastałem. Powołanie poczułem dopiero w wieku 20 lat. Po ukończeniu szkoły zacząłem pracować jako kucharz w restauracji, ale czegoś w życiu mi brakowało. Poszukiwania tego, co wypełniłoby pustkę w moim sercu, przywiodły mnie do Boga. Chciałbym w tym krótkim opowiadaniu przybliżyć Wam, kochani Czytelnicy, moją pracę misyjną wśród ludności masajskiej.



■ Pierwsza Komunia Święta w Tanzanii. Dzieci otrzymują od misjonarza Cudowny Medalik na pamiątkę tego dnia

Decyzja o podążeniu za głosem powołania była trudna. Do seminarium w Stanach nie mogłem wstąpić ze względu na brak „papierów”. Wyjazd do Polski równał się z kole i z pozostawieniem wszystkiego za sobą – rodziców, rodzeństwa i przyjaciół. Wróciłbym sam do kraju, w którym nie miałem nikogo, w którym nie mieszkalem od wielu lat. Paradoksalnie jednak ten wybór, przed którym wtedy stanąłem, pomógł mi później podjąć decyzję o wyjeździe na misję – znowu sam, znowu w nieznanie.

W Tanzanii mieszka wiele różnych plemion, które mają swoją własną kulturę i język. Moim skromnym zdaniem jednak, Masajowie są szczególnie, bo nie przyjmują nowości od razu – bardziej wolą trwać w swoich grupach, miejscach, zwyczajach, tradycji. Można to porównać do życia w enklawach (choć to nie jest zbyt dobre słowo, bo oni nie izolują się od innych, a raczej zachowują swoje wartości plemienne). Przykładami na to są chociażby ubiór, język, a nawet specyficzne budownictwo domów czy lepiarek z gliny, zwanych *masajaka boma*.

Rodziny masajskie są bardzo duże. W tym plemieniu dominuje wielożeństwo – jeden mężczyzna ma kilka żon, zdarza się, że nawet 6–8. Kiedyś było to związane z tym, że to mężczyzna chronił swoją rodzinę przed różnymi zagrożeniami np. dzikimi zwierzętami czy potyczkami plemiennymi, przez co wielu

mężczyzn ginęło. Wtedy brat brał za żonę wdowę po zmarłym (czego przykład mamy też w Starym Testamencie, gdy w tradycji żydowskiej brat musiał poślubić żonę swego zmarłego brata, aby się nią zaopiekować). Teraz już powoli, ale z trudem zaczyna się to zmieniać, bo jak wiemy, w naszej wierze nie ma wielożeństwa, a i czasy w Tanzanii też

Trudno mi powiedzieć, ilu dokładnie parafian liczy nasza misja. Ale jest to około 1300 rodzin, z czego każda posiada około 12 dzieci lub więcej.

są inne. Przede wszystkim podjęcie decyzji o zostaniu chrześcijaninem zmienia perspektywę. Nie ma już walk między plemionami, dzikie zwierzęta (jeżeli chodzi o mój teren) uciekły w inne miejsca, z dala

od ludzi, a rodziny zajmują się dziś hodowlą bydła i uprawą niewielkich pól kukurydzy. Stąd też duże rodziny – potrzeba bowiem rąk do pracy w polu i pasterzy wypasających stada.

Masajskie krowy różnią się od naszych polskich muciek, nie dają dużo mleka, nie jest to również odmiana mięsna, bo warunki tak na jeden, jak i na drugi typ są za trudne. Masajskiej krowie wystarczy, że się trochę wody napije, nawet raz na dwa dni, i trochę trawy poskubie podczas wędrowania i to jej wystarczy do przeżycia pory suchej. W porze deszczowej nabiera zaś większych i okrągłych kształtów.

Masajowie zatem to szczęśliwi i ciężko pracujący pasterze (w języku suahili: *wachungaji*), gdyż ich głównym zajęciem jest wypas krow, którym parają się wyłącznie chłopcy i mężczyźni. Kobiety w tych



■ Parafianie zebrani na Mszę Świętą w jednej ze stacji misyjnych. Na cześć nowego misjonarza miejscowi nazwali ją „Wspólnotą św. Andriana”

plemionach opiekują się ogniskiem domowym.

Dzień na misji zaczynam dość wcześnie (jak na mnie, bo przyznam, iż z natury nie jestem rannym ptaszkiem). O 6:30 każdego dnia mamy różaniec i po nim Mszę Świętą. Następnie około 8:30 śniadanie, a później, w zależności od dnia, wyruszam w drogę i odwiedzam 2–3 miejsca modlitwy, aby tam spotkać się z parafianami i zaopatrzyć ich w comiesięczne sakramenty. Tutaj dodam, że moja parafia ma takich miejsc tylko 40, a najdalej położona kaplica czy miejsce modlitwy to około 45 kilometrów w jedną stronę. Obecnie w naszej okolicy mamy trzy „polskie” parafie, łącznie jest nas tu sześciu misjonarzy z Polski.

Trudno mi powiedzieć, ilu dokładnie parafian liczy nasza misja. Ale jest to około 1300 rodzin, z czego każda posiada około 12 dzieci lub więcej. W miesiącu pokonuje na motorze 500–700 kilometrów



■ Dziękczynienie po Mszy Świętej tzw. *szukrani*, celebrowanej na koniec zbiorów

i każde miejsce jestem w stanie odwiedzić przynajmniej raz w miesiącu z sakramentami i Mszą Świętą. Jak wyjadę do pierwszego miejsca o godzinie 9:00, docieram tam na godzinę 10:00–11:00, zależy od odległości. Teraz zapyta ktoś, a dlaczego tak długo zajmuje podróż do danego miejsca? Odpowiedź jest dość

prosta – bo tu nie ma dróg w naszym rozumieniu.

Na pokonanie odległości 25 kilometrów na motorze potrzeba średnio 90 minut. I nie asfaltem czy jakąś ubitą drogą. Najczęściej jest to ścieżka wydeptana przez ludzi czy zwierzęta. Misyjne drogi są zaskakujące i nieprzewidywalne – jednego



■ Katecheza w szkole w Tanzanii



■ Ks. Adrian w otoczeniu dzieci z sąsiedniej parafii Mlala

miesiąca droga jest, a w kolejnym znika. Czasami trzeba przejechać przez zaorane pole, bo ktoś w tym roku postanowił coś posadzić w miejscu dotychczasowej drogi, więc muszę szukać objazdu. Nieraz też trzeba przekroczyć rzekę. W porze suchej nie ma problemu, bo koryto jest wyschnięte, ale co zrobić, kiedy jest pora deszczowa i wtedy płynie tam woda? Często moi parafianie, wiedząc, że do nich przyjadę, czekają na brzegu, aby pomóc mi przenieść motor nad wodą i nie zalać silnika. Naprawa motoru zajmuje tu dość dużo czasu. Ludzie byliby wtedy pozbawieni sakramentów, dlatego wolą przyjść i pomóc, aniżeli być pozbawionymi opieki duchowej. Wynika to z ich wiary i przywiązania do Boga, w którego zdecydowali się wierzyć.

I tak po dotarciu do pierwszej wioseczki do kapłana wychodzą

mieszkańcy, aby go przywitać i porozmawiać przed rozpoczęciem posługi. Nie można wtedy zapomnieć, z szacunku do ich tradycji, o przywitaniu się ze starszym wioski (w języku suahili: *mzee*). Osoba starsza w wiosce jest otaczana wielkim szacunkiem z racji wieku i autorytetu społecznego. Kiedy ktoś młodszy przychodzi przywitać się ze

starszym, schyla głowę, a *mzee* kładzie na niej dłoń na znak przywitania. Kapłani Masajowie też traktują z szacunkiem jako starszego i kiedy przyjeżdżam do wioski, na każdą głowę muszę położyć rękę. To są wszystko tradycje Masajów, żywe i niezmiennie. Na przykład przy zasiadaniu do posiłków jest swego rodzaju hierarchia: wpierw przynosi się jedzenie dla starszych, a dopiero potem posiłek dostaje reszta. Każdy je w swojej grupie wiekowej – dzieci z dziećmi, młodzież oddzielnie, kobiety i starsi podobnie. Nie ma tu domów opieki dla starszych, więc cała rodzina opiekuje się dziadkami i osobami samotnymi czy schorowanymi. Masajowie mają wielki szacunek do życia, a dzieci uznawane są za rodzinny skarb.

Po Mszy Świętej prawie zawsze jest jakiś poczęstunek dla gościa (Masajowie są bardzo gościnni) – herbata, ciepłe mleko czy coś do zjedzenia, na przykład miska ryżu z sosem pomidorowym czy olejem lub



■ Msza Święta na świeżym powietrzu, motocykl służy za ołtarz



■ Kaplica w cieniu drzew na stacji misyjnej w Tanzanii

ugali (typowe codzienne jedzenie z mąki kukurydzianej wrzuconej na gorącą wodę i ugotowanej; powstaje z tego ciasto trochę jak nasze purée z ziemniaków, ale smakuje inaczej). I czas wyruszyć do następnego miejsca, aby dotrzeć tam na godzinę 14:00–15:00, i ceremonia znowu się powtarza. Potem jeszcze przed zmrokiem muszę powrócić do domu spokojnie i bezpiecznie na godzinę 17:00–18:00, bo w ciemności bardzo ciężko się jeździ po ścieżkach, a zawsze można złapać gumę i nieoczekiwanie podróż się wydłuża.

Nasza misja w parafii Ndotoi jest pod wezwaniem Nawrócenia św. Pawła. Na misji mamy dom parafialny i taki à la kościół, a dokładnie przestrzeń z dachem chroniącym przed słońcem, ale bez ścian,

gdzie na modlitwie gromadzą się wierni. Kiedy w 2017 roku przybyli tu pierwsi polscy kapłani, parafia już istniała. Na naszej misji mamy jeszcze magazyn do przechowywania kukurydzy, garaż na motor i samochód (zakupiony w 2024 roku wspólnie z Sekretariatem Misji Zagranicznych Księży Sercanów i MIVA Polska) oraz małe gospodarstwo hodowlane, gdzie mamy 5 krów, kurnik i kilka świnek. Kapłaństwo na misjach w Tanzanii bowiem to nie tylko posługa sakramentalna, ale nierzadko jest to połączone z uprawą roli i hodowlą, dzięki czemu jesteśmy w stanie się utrzymać, a nawet dać zatrudnienie kilku osobom z okolicy. Parafia ma też swoje pole, około 24 hektarów, które też trzeba uprawić i zasiać, ale nie jest to takie proste,

jak mogłoby się wydawać. W Polsce gospodarze mają różne maszyny do prac polowych. Tu natomiast wszystko robi się ręcznie. Jeśli ktoś ma zwierzęta, to często wołami wykonuje się orkę, a rzadko używa się maszyn, na które ludzi po prostu nie stać. Powiedziałbym, że ludzie pracują tu mniej więcej jak w powojennej Polsce – praca ręczna z pomocą zwierząt. W lutym 2025 roku udało mi się założyć na terenie parafii sad z setką owocowych drzewek, który jak wyrośnie (a na razie rośnie ładnie), posłuży nam i lokalnej społeczności, aby poprawić codzienną dietę.

Po tych kilku latach spędzonych w Tanzanii nie żałuję decyzji o kapłaństwie. Na obrazku prymitywnym umieściłem słowa: „Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu” (Mk 16,15) i widzę, że te słowa wypełniają się w moim życiu w Afryce. ■

ks. Adrian Karwowski



Kapłan archidiecezji białostockiej, od 2021 roku misjonarz w Tanzanii. Z wykształcenia kucharz. Inne zainteresowania to ogrodnictwo i sadownictwo. Za swoją patronkę obrał Błogosławioną Paulinę Marię Jaricot od Żywego Różańca i Rozkrzewiania Wiary, o której pisał pracę magisterską na studiach teologicznych w Polsce.

Zaczęło się OD WODY

Nie planowałam takiego życia, choć fascynacja Afryką i działaniami humanitarnymi tkwiły gdzieś głęboko we mnie od wielu lat. Miałam kancelarię prawną, dom, rodzinę i wierzyłam, że jestem „po dobrej stronie świata”. Kiedy pierwszy raz pojechałam do Afryki, do Gambii – wtedy jeszcze w celach turystycznych i z rodziną – coś we mnie pękło.

Anna Walkowiak

Było tam wszystko, czego nie powinno być: niedożywione dzieci bez dostępu do szkoły, kobiety rodzące na klepisku i choroby, które u nas już nie występują. I była też woda. Ale zanieczyszczona – taka, przed którą u nas ostrzega się na każdym kroku i której nigdy byśmy nie tknęli. A jednak. Ksiądz misjonarz Marek Gizicki – proboszcz parafii pw. Nawrócenia św. Pawła w Ndotoi w Tanzanii – opowiadał, jak krótko po przybyciu na misję, nie mając jeszcze doświadczenia, wziął przykład z miejscowej ludności masajskiej i napił się wody z kałuży. Można sobie wyobrazić, co się stało: wymioty, biegunka krwotoczna i wysoka temperatura. Trafił do szpitala. Ledwo z tego wyszedł.

Wróciłam z Gambii, ale moje serce zostało w Afryce. Potrzeba było jeszcze kilku lat, dokładnie siedmiu, bym rozpoczęła moją misję. Jednak nigdy nie miałam wątpliwości, że to moje powołanie dane mi z góry! Tak narodziła się Fundacja „Africa Help”. Bez pieniędzy, bez zaplecza, ale za to z ogromną determinacją.

Dlaczego Tanzania?

Na początku było mi obojętne, w jakim kraju będę pomagać. Musiałam jednak od czegoś zacząć. Dlatego w pierwszym odruchu napisałam do jednej z warszawskich fundacji. Zapytałam, jak zabrać się za pomaganie w Afryce i gdzie najlepiej to zrobić. Trafiłam na cudowną osobę, która do dziś jest moją przyjaciółką. To ona doradziła mi, żebym

zaczęła w Tanzanii, bo to kraj spokojny, a jednocześnie społeczności etniczne mierzą się tam z ogromnymi problemami. W tym samym czasie skontaktowałam się ze mną ksiądz Marek Gizicki – wyjątkowy misjonarz, który akurat był w Polsce na urlopie i przyjechał do Poznania, skąd pochodzę i gdzie mieszkam. Rozmawialiśmy ponad trzy godziny. Podczas tego niezwykłego spotkania przekonywał mnie, jak bardzo potrzebna jest woda i pomoc medyczna, szczególnie w centralnej Tanzanii, w masajskim buszu, gdzie pora sucha trwa nieraz nawet dziewięć miesięcy. Wtedy zdecydowałam – pierwszy projekt rozpocznę właśnie tam. Jak się okazało, to miejsce stało się moją „misyjną miłością”.

270 metrów

Pierwszy projekt Fundacji – budowa studni w Tanzanii – nie był tylko zwykłym przedsięwzięciem. To była prawdziwa bitwa. Poznanie księdza Marka dodało nam wiary, że wszystko jest możliwe, że to się uda. Technicznie rzecz biorąc, był to odwiert na 270 metrów. A mentalnie? To tysiące metrów cierpliwości i wiary w sukces. Firma wiertnicza, która obiecywała cuda, nie tylko się spóźniała – ona próbowała nas oszukać. Mimo to udało się – dowiercili się do wody. Szczęście? Cud? Upór? Wszystkiego po trochu.

Ale nawet wtedy nie było końca problemów. Czasem okazuje się, że choć woda jest – pompa jej nie pompuje. Bo nie ma prądu, bo pompa jest

inna niż zamówiona, bo rury nie takie... Albo warstwa wodonośna jest zbyt słabo nasycona – i woda napływa zbyt wolno, by zaspokoić potrzeby wioski. To wszystko wychodzi na jaw dopiero po fakcie. Po wydaniu kilkudziesięciu tysięcy złotych. Tam nie ma miejsca na błąd. Jeśli nie ma wody – nie ma życia.

Logistyka, czyli afrykańska loteria

Sprzęt – nawet tak podstawowy jak przenośne USG – „przemycamy” przez granicę. Robimy to legalnie, ale dyskretnie. Inaczej zostanie zatrzymany. Czasem tanzański urząd celny zatrzymuje kontener – mimo że miał być na miejscu w wyznaczonym terminie. Potem trzeba go wykupić. Ile to kosztuje? Tego nikt nie wie. Cena zmienia się przy okienku.

Ileż to razy słyszałam zapewnienia: „Będzie dostarczone w piątek”.

Nie było. „Cena obejmuje wszystko”? Owszem, oprócz: transportu, montażu, wyżywienia ekipy i – jak się potem okazywało – drugiego montażu, bo pierwszy był błędny. Ale płacisz. Bo wiesz, że jeśli tego nie zrobisz, nie znajdziesz nikogo innego. Tam nie ma konkurencji. Jest tylko rzeczywistość.

Z całego serca chcę pomagać afrykańskim kobietom. To one są solą tej ziemi. Codziennie dźwigają na swoich barkach nie tylko wodę, ale i cały dom.

Ale potem przychodzi światło

Zdarzają się momenty, które przywracają siłę. Kiedy w najbardziej krytycznej chwili ktoś – znajomy, sąsiad lub zupełnie obca osoba – mówi: „Mam oszczędności, przekażę je wam”. I nagle mamy kilkanaście tysięcy złotych. Albo firma, która miała tylko objąć projekt

patronatem – decyduje się przekazać konkretne pieniądze. Wtedy właśnie czuję, że jesteśmy prawdziwą wspólnotą.

Dzięki takiemu zastrzykowi dobra – od firm prywatnych i z funduszu „Polska pomoc rozwojowa 2024” – zdobyliśmy prawie pół miliona złotych na projekt „Maternity Home”. W jego ramach przebudowaliśmy Klinikę Matki i Dziecka w Oltotoi w Tanzanii. Doposażyliśmy ją w nowoczesny sprzęt i zainstalowaliśmy 18 paneli solarnych. Nasze cudowne lekarzki – doktor Anna Paczkowska i doktor Beata Jaros – przeszkoliły sześć osób z personelu medycznego, a położna Sara Suchowiak przyuczyła 13 matron, czyli miejscowych akuserek bez medycznego wykształcenia. W ten sposób stworzyliśmy bezpieczne warunki porodowe dla lokalnych kobiet. Oprócz dużych firm wspierają nas też ludzie, których nigdy nie poznamy osobiście, ale którzy codziennie otwierają serca i portfele.

Aktualnie w budynku naszej kliniki w Tanzanii powstaje „Laboratorium Nadziei” – projekt sfinansowany w całości przez Sekretariat Misji Zagranicznych Księża Sercanów. Dzięki laboratorium kobiety i dzieci będą mogły być poprawnie diagnozowane. To krok milowy w realizacji całego centrum zdrowia.

Projekt ten odpowiada na kluczowe problemy zdrowotne kobiet w regionie Oltotoi w Tanzanii, gdzie tradycyjne praktyki, takie jak



■ Dr Anna Paczkowska w trakcie szkolenia personelu medycznego w Oltotoi, Tanzania

obrzezanie i poligamia, niosą ze sobą poważne konsekwencje zdrowotne, jak chociażby choroby przenoszone drogą płciową, których liczba zatrważa.

Gdy w grudniu 2024 roku odwiedziliśmy Oltotoi, spotkaliśmy na misji bardzo słabą kobietę. Ledwo stała na nogach. Powiedziała tylko, że choruje na AIDS. Zaraziła się od męża, który zostawił ją z trójką dzieci. Tego wieczora została z nami na kolację i przenocowała na misji. W nocy ksiądz Marek w pośpiechu zbudził naszą lekarkę, doktor Annę Paczkowską, prosząc o pomoc medyczną, gdy owa kobieta zaczęła tracić świadomość, oddech. Miała nierówne tętno. Ania natychmiast kazała jechać do najbliższego ośrodka zdrowia, gdzie znajdowało się laboratorium, aby wykonać badania. Od nich zależało dalsze leczenie. Najbliższa placówka oddalona była od misji aż o 100 kilometrów. Ksiądz Marek pojechał tam z chorą. Wrócił dopiero następnego dnia. Okazało się, że kobieta ma silną anemię, która w połączeniu z AIDS w każdej chwili może spowodować niewydolność serca lub problemy z oddychaniem. Ta kobieta przeżyła, ale wiele innych nie ma takiego szczęścia. Nie udało im się dojechać do kliniki, pomoc przychodzi za późno lub najwyżej w świecie nie znajdzie się żaden ksiądz Marek, który o każdej porze dnia i nocy zawiezie chorego człowieka 100 kilometrów drogami polnymi do ośrodka zdrowia. A jeszcze ten wszechobecny



■ Pracownicy i wolontariusze Fundacji „Africa Help” podczas wyjazdu do Tanzanii

brak pieniędzy na badania... Dlatego właśnie laboratorium stało się naszym priorytetem. Dzięki diagnostyce można komuś uratować życie.

Pierwsze kroki w Ugandzie

Z całego serca chcę pomagać afrykańskim kobietom. To one są solą tej ziemi. Codziennie dźwigają na swoich barkach nie tylko wodę, ale i cały dom. To właśnie z myślą o nich zorganizowałam pomoc ginekologiczną. Do Ugandy zabrałam wybitne specjalistki: profesor Ewę Barcz i doktor Beatę Rutkowską. Miały niezbędne narzędzia, ultrasonograf, ale przede wszystkim wielkie serca. Tam czekały na nas dziesiątki kobiet potrzebujących pomocy. Jednak czasem przychodziła taka, której choroba była zbyt zaawansowana. Ogromne mięśniaki macicy, których operacja – w tamtych warunkach – często mogłaby oznaczać śmierć. I wtedy trzeba było powiedzieć: „Nie możemy pomóc”. A to boli najbardziej.

W 2022 roku w Ugandzie poznałam też sudańską młodzież, gdy po raz pierwszy pojechałam do obozu dla uchodźców z Sudanu Południowego. Zobaczyłam wtedy wegetację, beznadzieję i rezygnację. Siostra Franciszka – Polka, cudowna misjonarka – namówiła mnie na rozmowę z tą młodzieżą. Indywidualnie, dziecko po dziecku, a wszystkie w wieku 15 – 18 lat. Wpadłam w rozpacz po wysłuchaniu tylko kilku, częstokroć powtarzających się historii: tragiczny wyjazd z Sudanu Południowego, brak rodziców, bycie służącą dla wujów, ich żon i dzieci w zamian za jeden posiłek dziennie, brak edukacji, wszechogarniający smutek...

Zobaczyłam wtedy w tych dziewczynach moją córkę, która akurat wówczas miała 15 lat... i serce mi się ścisnęło. Było to tuż po wybuchu wojny na Ukrainie. Co stałoby się z moją córką, gdyby wybuchła wojna w Polsce? Czy ktoś by jej pomógł? A gdyby musiała uciekać do innego kraju? Wówczas zdecydowałam się

na stworzenie pilotażowego programu adopcji edukacyjnej. Zaczęłam od pięciorga dzieci. Teraz mamy ich już 20 pod opieką – finansujemy im czesne i internat w katolickiej szkole średniej. A wszystko to dzięki naszym darczyńcom o wielkich sercach.

Misjonarze – cisi bohaterowie naszej codzienności

Wszystko to nie byłoby możliwe bez wsparcia tych, którzy pozostają na miejscu, kiedy my wracamy do Polski. Misjonarze – ksiądz Marek Gizicki, ojciec Andrzej Dzida, brat Wojtek Pawłowski, ksiądz Adrian Karwowski, brat Łukasz Mężyk – otwierają przed nami drzwi swoich placówek misyjnych, zapewniając dach nad głową, pomoc w kontaktach z lokalnymi władzami oraz wsparcie organizacyjne. To oni znajdują wykonawców, tłumaczą i czuwają nad projektami, gdy my jesteśmy już daleko. A ich obecność daje poczucie, że wszystko, co zaczynamy, ma szansę się udać i przetrwać.

To właśnie oni potrafią powiedzieć: „To się nie uda”, a potem przyprowadzić ekipę, która jednak to zrobi. Rozumieją lokalne realia, kulturę i język. Są naszymi partnerami, ale też przyjaciółmi, wsparciem duchowym i praktycznym. Dzięki nim Fundacja działa skutecznie i z szacunkiem wobec lokalnej społeczności.

Nie mogę nie wspomnieć też o wolontariuszach – tych niesamowitych ludziach, którzy współtworzą każdy nasz projekt. Monika



■ Anna Walkowiak i siostra Franczeska z uczennicą objętą adopcją edukacyjną Fundacji „Africa Help”

Bronowicz, Jarek Grzywa, Anita Kozłowska, Małgorzata Kaczmarek, Piotr Latanowicz, Ania Paczkowska, Artur Długosz, Maria Brykczyńska i Maks Kaminiak – to tylko część osób. Każda z nich to serce bijące w rytm Afryki. Ich pasja i kompetencje sprawiają, że Fundacja żyje – nie jako struktura, ale jako społeczność ludzi, którzy naprawdę chcą zmieniać świat.

Sudan Południowy – miejsce, które czeka

Chciałabym pójść dalej. Do Sudanu Południowego. Niestety, tam nadal jest zbyt niebezpiecznie. Pomoc? Tak. Ale nie za wszelką cenę. Nie chcemy być kolejną fundacją, która zniknie, bo wpadła w wir polityki, ryzyka i wojny. Czekamy i obserwujemy. Modlimy się, aby i tam kiedyś można było zrobić coś więcej, niż tylko planować.

Czasem siadam wieczorem i zadaję sobie pytanie: dlaczego to robię? I wtedy przypominam sobie dziecko, które po raz pierwszy piło czystą

wodę. Kobieta, która pierwszy raz miała badanie ginekologiczne. Dzieciaka, który dostał buty. Kolejną nastolatkę bez szans na edukację ponadpodstawową... I już wiem.

Bo jestem matką – i w nich widzę moje dziecko. Bo jestem kobietą – i wiem, ile trzeba wytrzymać, gdy nie ma się nic. Bo jestem człowiekiem – i nie potrafię być obojętna. **Dlatego nie przestanę.** Bo choć codzienność to nie bajka, to jednak wiem, że każda kropla wody, każde uratowane zdrowie i każdy uśmiech – to największy cud. I nie potrzebuję niczego więcej. ■

Anna Walkowiak



Prawnik z wykształcenia i zawodu, absolwentka UAM w Poznaniu. Prezes założonej przez siebie Fundacji „Africa Help”, z którą od 2020 roku realizuje projekty rozwojowe w Afryce Subsaharyjskiej. Prywatnie dumna matka dwóch córek – Marii i Małgorzaty. Jej pasja życiowa to Afryka.



BUDUJEMY STUDNIE W TANZANII

CZY WIESZ, ŻE...?

Czysta woda w Afryce Subsaharyjskiej to niezmiennie palący problem. **W Tanzanii ze względu na brak dostępu do czystej wody pitnej aż 12% dzieci zapada na choroby biegunkowe**, szczególnie niebezpieczne dla maluchów poniżej piątego roku życia.

W tym kraju **cztery na dziesięć gospodarstw domowych oraz co trzecia szkoła nie mają dostępu do czystej wody pitnej.**

PROJEKT BUDOWY STUDNI W TANZANII MOŻNA WESPRZEĆ:

- przekazując darowiznę
- kupując produkty dostępne w sklepie Coriss (s. 98)
- przysyłając do naszego biura w Olsztynie telefony komórkowe (s. 90)

Sekretariat Misji Zagranicznych Księżów Sercanów

ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn

Bank BNP **79 1600 1462 1847 3641 5000 0008**

tytułem: *Budowa studni w Tanzanii*

www.misjesercanow.pl/projekty/budowa-studni-w-tanzanii

zbieramto 

POMOC MISJOM „BEZ PIENIĘDZY”

Dzięki tysiącom Darczyńców, którzy przekazali nam różnego rodzaju „surowce” (starą biżuterię, telefony komórkowe, wycofane z obiegu pieniądze, zegarki tarczowe, elektrośmieci, złom, klocki LEGO...), podarowaliśmy na dzieła misyjne już ponad 2 000 000 złotych! To właśnie za te pieniądze budujemy studnie głębinowe w Czadzie i Tanzanii oraz ratujemy przed przemocą i ubóstwem dzieci z Boliwii i Filipin.

ZBIERAMY



TELEFONY KOMÓRKOWE I TABLETY

stare i nowe,
działające i uszkodzone



LAPTOPY

bez względu na stan techniczny
i kompletność – przyjmujemy
wszystkie



BURSZTYN

surowy
oraz w wyrobach



„Dobre monety”

monety i banknoty z całego świata
aktualne, jak i wycofane z obiegu



SREBRNĄ I ZŁOTĄ BIŻUTERIĘ

zerwane łańcuszki, kolczyki bez pary,
pęknięte pierścionki



KLOCKI LEGO

kompletne zestawy i luźne
wymieszane klocki, w kartonach i bez



ZEGARKI TARCZOWE

wszystkie oprócz budzików,
bez względu na stan

Prosimy o nadawanie listów poleconych lub paczek na adres:

Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów
ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn ■ tel. 537 411 405



DRODZY DARZYŃCY,

organizacje religijne od wieków odgrywają kluczową rolę w niesieniu pomocy w krajach „trzeciego świata”. Misjonarze poświęcają swoje życie ubogim, działając w najtrudniejszych rejonach różnych kontynentów. Ich praca wykracza poza czysto duchowe wsparcie, obejmując szeroki zakres działań humanitarnych. Szczególnie ważne jest dożywianie dzieci. W miejscach dotkniętych suszą i brakiem dostępu do wody misjonarze podejmują się trudnego zadania drążenia studni, zapewniając ludziom dostęp do czystej wody pitnej – podstawy życia i zdrowia.

Te działania – poza wymiarem materialnym – budują więzi społeczne i dają nadzieję na zmianę. A jednak, często są one niedoceniane, choć świadczą o głębokim zaangażowaniu i miłości bliźniego. Aby ta posługa była owocna, potrzebny jest cały szereg „ludzi dobrej woli”, działających w swoich środowiskach i wspierających tych „na pierwszej linii”. My nazywamy ich Sercańską Rodziną Misyjną. Każdemu Darczyńcy, za otwartość i towarzyszenie w dziele misji, szczerze i z serca dziękuję!

Sekretarz Misji Zagranicznych
Księży Sercanów

Ks. Zbigniew Chwaja scj

DOWÓD/POKWITOWANIE DLA ZLECENIODAWCY

nr rachunku odbiorcy	79 1600 1462 1847 3641 5000 0008
odbiorca:	Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów ul. Rakowa 11 10-185 Olsztyn
kwota:	
zleceniodawca:	
tytułem:	☐ Ofiara na misję – tam, gdzie najbardziej potrzeba ☐ Budowa studni w Tanzanii ☐ Pomoc ofiarom wojny na Ukrainie ☐ Adopcja Miłości w domu dla dziewcząt w Boliwii ☐ /lub inny cel: /



opłata:

nazwa odbiorcy	Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów
nazwa odbiorcy cd.	ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn
nr rachunku odbiorcy	7 9 1 6 0 0 1 4 6 2 1 8 4 7 3 6 4 1 5 0 0 0 0 0 0 8
waluta	W P PLN
kwota	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)	
nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy c.d.	
tytułem	☐ Ofiara na misję – tam, gdzie najbardziej potrzeba ☐ Budowa studni w Tanzanii ☐ Pomoc ofiarom wojny na Ukrainie ☐ Adopcja Miłości w domu dla dziewcząt w Boliwii ☐ /lub inny cel: /
pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy	
opłata:	
06	

WYDAWCA

Fundacja Missio Cordis,
ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn

ADRES REDAKCJI

ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn

KONTAKT

kontakt@misjesercanow.pl

REDAKTOR NACZELNA

Marta Czajka

PROJEKT GRAFICZNY

Mateusz Miernik

ZDJĘCIA

materiały Sekretariatu Misji Zagranicznych
s. 6, 7, 10–11 – Muzeum Pamięci Sybiru
s. 4, 5, 8, 12, 13, 54, 61–63, 67, 69, 73–75,
77, 94 – <https://commons.wikimedia.org>
s. 9 www.padrimariani.org
s. 14–19 – o. Kalikst Salak
s. 20–24 – o. Andrzej Zalewski
s. 26, 27, 30, 33 – Robert Bąk
s. 28–34 – Siostry Dominikanki
39 Mateusz Piędel
40–56 – ks. Marek Gubernat
s. 84, 85, 87, 88 – Fundacja „Africa Help”
86 – Piotr Latanowicz

ASYSTENT KOŚCIELNY

ks. Zbigniew Chwaja SCJ

KOREKTA

Katarzyna Tran Trang

ZESPÓŁ KOREKTORSKI

Monika Fedorowicz, Anna Samodulska
Barbara Wypych

BIURO W OLSZTYNIE

ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn ▪ tel. +48 537 411 405

BIURO W LUBLINIE

ul. Radzyńska 3a, 20-850 Lublin ▪ tel. +48 507 481 511

WWW.MISJESERCANOW.PL

www.zbieramto.pl | www.zbieramtowszkole.pl | www.coriss.pl

Dane do przelewów:

Nr rachunku PLN: 79 1600 1462 1847 3641 5000 0008

Nr rachunku DOLAR: PL 52 1600 1462 1847 3641 5000 0009
SWIFT: PPAB PLPK

Nr rachunku EURO: PL 41 1600 1462 1847 3641 5000 0013
SWIFT: PPAB PLPK

ADMINISTRATOR DANYCH OSOBOWYCH

Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego (Księża Sercanie) Prowincja Polska – Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów, ul. Łowicka 46, 02-531 Warszawa.

Dane kontaktowe: Sekretariat Misji Zagranicznych Księży Sercanów, ul. Rakowa 11, 10-185 Olsztyn, e-mail: kontakt@misjesercanow.pl, telefon: 537 411 405.

1. Dane osobowe są przetwarzane w celu:

1.1. Przekazania darowizny

Jeśli decydują się Państwo przekazać nam darowiznę, Państwa dane osobowe przetwarzane są w celu rozliczenia otrzymanych darowizn oraz ewentualnego kontaktu z darczyńcą w celu przesłania podziękowań za przekazaną darowiznę. Przetwarzanie danych Darczyńców w celu rozliczenia otrzymanych darowizn jest naszym obowiązkiem i wynika z przepisów prawa.

Natomiast podanie przez Państwa danych takich jak numer telefonu lub adres e-mail w celu umożliwienia nam kontaktu z Państwem odbywa się za Państwa zgodą. Wyrażenie zgody jest dobrowolne.

Dane Darczyńców przetwarzanych w celu rozliczenia darowizny będziemy przetwarzać przez 5 lat liczonych od roku następującego po roku ostatniej czynności księgowej. Dane wykorzystywane do celów analitycznych będziemy przetwarzać przez 5 lat liczonych od roku momentu zakończenia analizy danych. Natomiast dane kontaktowe będziemy przetwarzać do czasu odwołania przez Państwa zgodą.

1.2. Skontaktowania się z nami

Mogą Państwo kontaktować się z nami poprzez wysłanie wiadomości e-mail lub telefonicznie. Podanie danych osobowych w celu uzyskania kontaktu jest dobrowolne, za Państwa zgodą. Zakres przetwarzanych danych osobowych zależy od tego, z jaką sprawą

Państwo się do nas zwracają (np. przesłanie oferty i nawiązanie współpracy, darowizna, sprawy związane z realizacją czy udziałem w projektach itp.).

1.3. Zostawienia komentarza w mediach społecznościowych

Jeśli kontaktują się Państwo z nami za pośrednictwem mediów społecznościowych: (Facebook) – wysyłając wiadomość prywatną, udostępniając posty lub zostawiając komentarz – przetwarzamy Państwa dane osobowe, którymi posługują się Państwo w tych mediach. Korzystanie z powyższych kanałów jest dobrowolne i odbywa się za Państwa zgodą.

2. Wycofanie zgody na przetwarzanie danych osobowych

Zgodę, udzieloną na przetwarzanie danych osobowych w celach kontaktowych oraz w ramach realizacji projektu, mogą Państwo wycofać, wysyłając oświadczenie o treści: „Wycofuję zgodę na przetwarzanie danych osobowych w zakresie adresu e-mail/nr telefonu (proszę podać adres e-mail)” mailowo (na adres: kontakt@misjesercanow.pl), listownie lub składając je osobiście w siedzibie Administratora danych osobowych.

Wycofanie zgody może być złożone wyłącznie przez właściciela danych osobowych. Administrator danych osobowych zastrzega sobie prawo weryfikacji tożsamości osoby wycofującej zgodę w celu zapewnienia prawidłowej realizacji uprawnień.

3. Udostępnianie danych osobowych

Zgromadzone dane osobowe mogą być udostępniane m.in.:

- dostawcom systemów informatycznych oraz podmiotom współpracującym w celu wykonywania czynności technicznych koniecznych do zapewnienia bezpieczeństwa tych systemów;
- podmiotom świadczącym usługi pocztowe i kurierskie zgodnie z prawem pocztowym w celu prowadzenia korespondencji tradycyjnej;

• podmiotom świadczącym usługi korespondencji e-mail, takim jak GetResponse;

• systemom bankowym lub instytucji płatniczej – Przelewy 24 – za pomocą której realizowane są wpłaty.

Ujawnianie danych osobowych prowadzone jest zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa oraz wyłącznie w sytuacjach, gdy jest to niezbędne w celu realizacji i rozliczania świadczonych usług z zapewnieniem poufności przetwarzanych danych osobowych. W przypadku korzystania z mediów społecznościowych dane osobowe będą przetwarzane w krajach, mogących nie zapewniać dostatecznego poziomu ochrony danych osobowych, np. w USA lub innych krajach, w których dostawcy mediów mają swoje serwery przetwarzające dane. Dane osobowe mogą być przeglądane i gromadzone przez amerykańskie służby (NSA, FBI, CIA), a Właściciele danych nie mają możliwości dostępu do sądowych środków prawnych w celu obrony przeciwko przetwarzaniu danych osobowych przez te służby.

4. Prawa właścicieli danych osobowych

W związku z prowadzonym przetwarzaniem mają Państwo prawo żądania:

- dostępu do swoich danych osobowych i ich poprawiania zgodnie z przepisami,
- ograniczenia przetwarzania swoich danych osobowych,
- usunięcia swoich danych osobowych w przypadku danych przetwarzanych na podstawie udzielonej zgody.

Przysługuje Państwu także prawo złożenia skargi do Prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych.

W sprawach związanych z ochroną danych osobowych należy kontaktować się z inspektorem ochrony danych: ks. Marek Stokłosa, ul. Łowicka 46, 02-531 Warszawa, tel. 22 849 43 51.



Kamienie SZLACHETNE – OD HISTORII DO WSPÓŁCZESNOŚCI

Od wieków zachwycają swoim pięknem, stanowiąc symbol luksusu, bogactwa, władzy. Są unikatowym, rzadko spotykanym darem ziemi. Ich wydobywanie zawsze wiązało się z ogromnym nakładem pracy, ale także dużym szczęściem. Zaś wejście w ich posiadanie wymagało niemałego kapitału. Ich wartość porównywać można do wartości złota, z którym są za pan brat. Mowa oczywiście o wszelkich cennych, rzadkich, a tym samym niezwykle pożądanym przez ludzi minerałach, które nam wszystkich bliżej znane są pod nazwą „kamieni szlachetnych”. Drodzy Czytelnicy, spójrzmy razem w przeszłość i poznamy się bliżej z kamieniami, których niezwykłość zachwyca od tysięcy lat.

Zacznijmy jednak od pewnego wyjaśnienia – czym jest kamień szlachetny. Gdy ktoś mówi o kamieniach szlachetnych, maluje się nam przed oczyma obraz drogich, pięknych i niezwykle rzadkich kamieni związanych ze światem bogaczy, władców i innych wpływowych postaci. Czy słusznie? I tak, i nie. W potocznym języku kamień szlachetny to rzeczywiście każdy cenny kamień. Jednak dla znawców tematu, np. historyków sztuki, jubilerów i gemmologów, kamieniami szlachetnymi są przede wszystkim minerały z „Wielkiej Czwórki”, w skład której wchodzi: diament, szafir, rubin i szmaragd. I chociaż termin ten został ukuty w XIX wieku, to wspomniane kamienie od wieków były niezwykle wysoce cenione. Nieważne, która epoka historyczna – one zawsze i wszędzie odgrywały najważniejszą rolę.

A co z resztą? Gdzie klasyfikują się ametysty, topazy, opale i inne? Wszystkie pozostałe kamienie określamy mianem „półszlachetnych” lub „ozdobnych” (te ostatnie można określić jako pospolite, powszechnie występujące w naturze, lecz cenione za swój wygląd). Czy zatem ich znaczenie w historii było marginalne? Otóż nie, równie powszechnie cenione były przez zdobników za ich barwy, niekiedy znacznie większą dostępność i większą łatwość w obróbce.

Wyraźną granicę pomiędzy kamieniami szlachetnymi a półszlachetnymi w 1812 roku wyznaczył niemiecki mineralog Friedrich Mohs. Stworzył



■ Korona Cesarstwa Rzymskiego pochodząca z II p. X w., przechowywana w Skarbcu Cesarskim w Wiedniu

dziesięciostopniową skalę twardości minerałów, określając ich odporność na ścieranie. I tak określi-

Od najdawniejszych czasów za najcenniejszy kruszec uważano złoto. Rzadki i pożądaný metal od samego początku, niezależnie od miejsca, pełnił rolę waluty i materiału zdobniczego – jak widać, dziś jest tak samo.

lono twardość „Wielkiej Czwórki” powyżej 7, co oznacza, że nie można ich zarysować dostępną człowiekowi stalą narzędziową. Diament z twardością 10 uznany został wówczas za najtwardszy minerał znany człowiekowi. Wszystkie inne

minerały z oceną poniżej 7 uznano za kamienie „półszlachetne”.

Czy ten podział jest dobry? Nie do końca, bo gdzie w tym jest chociażby kwarc o skali twardości powyżej 7, a jednak nie będący aż tak historycznie cennym kamieniem ozdobnym? Stąd też dziś używa się terminu „kamienie jubilerskie”. Nie jest on odpowiedni dla historyków sztuki, gdyż „jubilerstwo” dotyczy czasów głównie nowszych. Ponadto pod terminem tym kryją się także kamienie syntetyczne. Przyjmijmy zatem, Drogi Czytelniku, że zostaniemy przy określeniu potocznym, aby móc się skupić na znaczeniu

kamieni szlachetnych w sztuce na przestrzeni epok.

Od najdawniejszych czasów za najcenniejszy kruszec uważano złoto. Rzadki i pożądany metal od samego początku, niezależnie od miejsca, pełnił rolę waluty i materiału zdobniczego – jak widać, dziś jest tak samo. Jednak nie zajmujemy się złotem, to temat na zupełnie inny artykuł. Przenieśmy się za to do starożytnego Egiptu i Grecji, w obszar Morza Śródziemnego, kolebki naszej cywilizacji. To tu wyraźnie zaznacza się obecność wszelkich cennych kamieni w naszej kulturze. Ale czy to oznacza, że nie były one wcześniej znane? Otóż były! Piękno diamentów i rubinów zachwycало przede wszystkim mieszkańców dzisiejszych obszarów Indii. To właśnie stąd do mniej więcej XVIII wieku sprowadzano do Europy i na Bliski Wschód te rzadkie minerały. Wracając do Grecji, wzmianki o kamieniach szlachetnych możemy znaleźć w „Iliadzie” i „Odysei” Homera. Grecki uczony Teofrast zachwycал się pięknymi minerałami w swoim traktacie „O kamieniach”. W tej epoce kamienie szlachetne, głównie diamenty, rubiny i szmaragdy, zaczęto wykorzystywać na szeroką skalę do tworzenia pięknych, drogich przedmiotów – kamienie zdobiły insygnia władzy, narzędzia kultu albo były używane do produkcji biżuterii oraz przedmiotów codziennego użytku. I zawsze towarzyszyło im złoto, stanowiąc bazę, do której kamienie były jedynie dodatkiem. Starożytni rzemieślnicy potrafili szlifować,

polerować i rzeźbić w kamieniach szlachetnych. Cenne i rzadkie kamienie stały się wówczas symbolem władzy, pozycji społecznej i bogactwa. Im więcej się ich miało, tym większym znaczeniem i szacunkiem można było się otaczać.

Nie można zapominać, że kamieniom szlachetnym od najdawniejszych czasów przypisywane były różne znaczenia, symbolika i moce magiczne. Władcy otaczali się kamieniami, które miały im dać (bądź podkreślić) moc, władzę, mądrość, siłę i waleczność. Ich insygnia władzy (korony, trony) ozdobione cennymi kamieniami dawały jasny przekaz, mówiący nie tylko o tym, jak bardzo król, cesarz czy faraon jest bogaty, ale jakimi wartościami się kieruje. Kamieni używano także

jako amuletów, które miały chronić np. przed złymi mocami.

W średniowieczu kamienie szlachetne nadal miały bardzo dużą wartość. Czasy te przyniosły wzrost wiedzy na temat rzadkich minerałów. Poszczególne grupy minerałów zostały rozróżnione i zyskały swoje znaczenie i pozycję w sztuce. Doceniono ich różnorodną kolorystykę. Złoto natomiast zaczęło nieco tracić na znaczeniu, będąc jedynie uzupełnieniem i technicznym elementem dekoracji – wtedy to kamienie wybiły się na pierwszy plan. W tym czasie bardzo mocno rozwinęła się sztuka związana z nową religią – chrześcijaństwem. Kamienie powszechnie wykorzystywano do zdobienia krzyży, opraw ksiąg czy relikwiarzy. Z kamieniami



■ Złota bransoleta z rubinami

szlachetnymi, niezależnie od ich rodzaju, związana jest znacząca symbolika biblijnej skały – trwałości, wieczności, wytrzymałości – podkreślały one więc znaczenie nowej religii, która stosunkowo szybko została zaakceptowana przez królestwa i plemiona dzisiejszej Europy.

Średniowieczni rzemieślnicy, tak jak ich poprzednicy, bez większych trudności potrafili obrabiać kamienie szlachetne. Co więcej, bardzo sprawnie rozróżniali kamienie pod względem ich twardości, wiedząc, który kamień potrafi rozcinać inne kamienie. I chociaż nie dzielili jeszcze kamieni na szlachetne i półszlachetne, to swoją największą wartość już wyraźnie zaznaczała „Wielka Czwórka”. W średniowieczu z dużym

umiłowaniem szlifowano kamienie do postaci kaboszonów o obłych, zaokrąglonych kształtach, które przypominały małe oczka. Kamieniom nadawano także bardzo duży połysk, aby możliwie wyraźnie mieniły się w biżuterii, nie ustępując złotu.

Czy czasy nowożytnie zmieniają znaczenie kamieni szlache-
tnych? Absolutnie nie – tak jak trakto-
wano je od wieków, tak traktowa-
no je wówczas. Jednak to, co było niegdyś
domeną królów, możnych i hierar-
chów kościoła, w dobie renesansu
i baroku stało się bardziej dostę-
pne dla innych – po cenne kruszce
zaczęli sięgać szlachcice, hrabiowie,
przedstawiciele bogatych i wpływo-
wych rodzin kupieckich. Dostępność
kamieni szlache-tnych związana była

z wzrostem ich poszukiwań i wydobycia na terenach rodzimych. I chociaż złoże w Europie nie obfitowało w duże bogactwo diamentów czy szmaragdów, to jednak pozwalały pozyskać kamienie półszlachetne. Na przykład w Polsce od XVI wieku działała Kopalnia Podgórze w Kowarach, w której wydobywano ametysty, kwarc, topaz czy beryl. To też czasy dużej prosperity Rzeczypospolitej Polskiej – odzienia polskich szlachciców dumnie zdobiły dodatki ze złota i kamieni szlachetnych.

I chociaż podrabianie kamieni szlachetnych znane było od starożytności, to dopiero w XVI wieku zwrócono uwagę na powszechny problem, jakim było wykorzystywanie barwionego szkła, które imitowało cenne minerały. W tym czasie wzrosło wręcz zainteresowanie tworzeniem imitacji kamieni szlachetnych.

Na początku XVII wieku flamandzki lekarz i mineralog Anselmus Boëtius de Boodt opublikował traktat o minerałach, w którym sklasyfikował blisko 600 znanych mu minerałów i opisał ich właściwości chemiczne i fizyczne. Była to pierwsza tak obszerna publikacja dotycząca minerałów. Jego praca stała się niezwykle popularna (przetłumaczono ją na wiele europejskich języków). Przyczyniła się do rozpowszechnienia znanstwa minerałów i dała podwaliny pod tworzącą się nową naukę.

W XIX wieku obok nauk przyrodniczych rozwinęła się nauka o kamieniach szlachetnych – gemmologia. W tym samym czasie coraz



- Od lewej: fluoryt, kalcyt zielony, piryt, sodalit, kryształ górski, obsydian, howlit, kwarc, tygrysie oko, obsydian śnieżny, ametyst w centrum



■ Naszyjnik z agatu indyjskiego z sercem Coriss

większe grono chemików zaczęło eksperymentować z wytwarzaniem kamieni szlachetnych. W 1902 roku otrzymano sztuczny opal, zaś po 1907 roku syntetyczny rubin. Kamień syntetyczny, znacznie tańszy, zdominował jubilerstwo Europy, zdobiąc już nie tylko korony władców, ale także szyje pań. Cenionym i opłacalnym zawodem stało się jubilerstwo.

Dziś kamienie szlachetne, półszlachetne, ozdobne i jubilerskie dalej są bardzo wysoko cenione. Ludzie naszych czasów nie wykorzystują jednak minerałów wyłącznie do zdobienia, ale również w przemyśle, do produkcji związków chemicznych, metali, a także przy tworzeniu nowoczesnych technologii. Na

terenach Polski występuje wiele złóż cennych minerałów: agatów, topazów, kwarców, kalcytów, które do dziś są wydobywane.

I chociaż o kamieniach i minerałach można by mówić godzinami, to artykuł ten ma swoje ograniczenia. Stąd, Drogi Czytelniku, zachęcam Cię do lektury, a jak na muzealnika przystało, zapraszam Cię do najbliższego muzeum, które ekspozycje kamienie szlachetne. W Polsce mamy ponad 50 muzeów i kolekcji gemmologicznych. A jeżeli chcesz wejść w posiadanie okazów cennych kamieni i sam stworzyć swoją kolekcję – nic prostszego. Zaczynaj od zgłębienia tematu, przeczytaj kilka książek popularyzujących ten temat i działaj! Żyjemy w czasach,

w których wszelkie minerały możemy mieć na wyciągnięcie ręki! Niezależnie, co zrobisz, dziękuję Ci za przeczytanie tego artykułu. ■

Andrzej Damian Borsuk



Absolwent UMK w Toruniu, muzealnik, konserwator i menadżer. Od lat zajmuje się szeroko rozumianą ochroną dziedzictwa kultury, specjalizując się w badaniu i ochronie zabytków architektury świeckiej, sakralnej, militarnej i przemysłowej. Współtwórca wielu wystaw muzealnych, w tym wystawy Muzeum Misyjno-Etnograficznego Ojców Werbistów w Pieniężnie. Znamca sztuki chrześcijańskiej, miłośnik historii i techniki uzbrojenia, propagator turystyki muzealnej.

COR/SS

bijuteria z misją

DLA NIEJ



**BRANSOLETKA RÓŻANIEC
Z AMAZONITU**

(amazonit, srebro)

159 zł



NOWOŚĆ

**BRANSOLETKA RÓŻANIEC
Z KAMIENIA SŁONECZNEGO
Z PRZEBITYM SERCEM**

(kamień słoneczny, srebro pozłacane)

159 zł



**BRANSOLETKA RÓŻANIEC
Z TURMALINU**

(turmalin, srebro pozłacane)

229 zł



**BRANSOLETKA RÓŻANIEC
Z KAMIENIA SŁONECZNEGO**

(kamień słoneczny, srebro pozłacane)

189 zł



ZAWIESZKA

MATKA BOŻA CZĘSTOCHOWSKA

(srebro pozłacane)

99 zł



**PIERŚCIONEK DZIESIĄTKA
RÓŻAŃCA**

(turmalin, srebro pozłacane)

85 zł



NOWOŚĆ

**BRANSOLETKA RÓŻANIEC
Z ZIELONEGO GRANATU**

(zielony granat,
srebro pozłacane)

179 zł



ZAWIESZKA

KRZYŻYK SERCAŃSKI

(srebro pozłacane)

od 69 zł



NOWOŚĆ

**NASZYJNIK Z ZIELONYCH
GRANATÓW Z PRZEBITYM SERCEM**
(zielony granat, srebro pozłacane)

229 zł



NOWOŚĆ

**BRANSOLETKA
Z KAMIENI SZMARAGDU NILU**
(szmaragd, srebro pozłacane)

159 zł

DLA NIEGO



**BRANSOLETKA RÓŻANIEC
Z BRĄZOWEGO KAMIENIA**
(brązowy kamień, srebro)

169 zł



**BRANSOLETKA RÓŻANIEC
Z LAWY WULKANICZNEJ**
(lawka wulkaniczna)

159 zł

CORISS powstało,
aby wspierać działania
Sekretariatu Misji Zagranicznych
Księża Sercanów. Zysk ze sprzedaży
biżuterii CORISS przekazujemy
misjonarzom na budowę
studni głębinowych w Afryce.



**10%
RABATU
Z KODEM**

MISJE10
WAŻNY DO
31.12.2025 r.



WWW.CORISS.PL

tel. 504 090 168



coriss.jewellery



coriss_jewellery

Oferta ważna do 31 grudnia 2025 roku
lub do wyczerpania zapasów.



COR/SS

biżuteria z misją

WWW.CORISS.PL

tel. 504 090 168



coriss.jewellery



coriss_jewellery